Nr. 39 (1498) Warszawa, 25 Września 1909 r. Rok XXIX.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Redakcja i Administracja **Rysia 3. Telefon 73-80.**

Szanownym prenumeratorom przypominamy o odnowieniu przedpłaty na 4-ty kwartał.

POLITYKA i ŻYCIE SPOŁECZNE.

Wolty polityczne.

Możnaby osobną książkę poświęcić studjom nad ewolucjami narodowej demokracji w samej tylko sprawie szkolnej w Królestwie Polskim. Książka ta niewątpliwie kiedyś napisaną będzie i obejmie historyczny przegląd tych wszystkich przemian, tych wszystkich *młynków* i *kominków*, jakie narodowo-demokratyczni *leaderzy* na polu walki o szkołę wywinęli—przyczyniając się znakomicie do zaprzepaszczenia wszystkich czynionych przez społeczeństwo wysiłków, co im bynajmniej nie przeszkadzało wieńczyć swe czoła laurami, rwanymi na prawo i lewo z cudzych ogródków.

Koroną tych wolt politycznych są obecne artykuły w *Głosie Warszawskim* w kwestji szkolnej, niepodpisane nazwiskiem autora, lecz noszące wybitne piętno jego indywidualności.

Głos Warszawski stwierdza najprzód, że u nas kwestja szkolna nie jest postawiona „jasno", więc dla *rozjaśnienia* jej zapełnia czernidłem drukarskim po pięć szpalt pisma w każdym numerze, a w chwili gdy to piszemy, trudno jeszcze przewidzieć, na jak długie próby cierpliwość papieru wystawiać zamierza.

Otóż *jasne* postawienie kwestji szkolnej wymaga widocznie, zdaniem *Głosu*, rozpatrzenia jej z punktu widzenia *państwowego* i *policyjno-rządowego*.

Redakcja zapomina, że wyświetlanie jej z tego stanowiska jest z natury rzeczy zmonopolizowane w ministerjum oświaty i że, choćby wytoczyć przeciw niemu najznakomitsze djalektyczne argumenty — nigdy opinja autora owego artykułu nie będzie uznana za tak miarodajną, jak pogląd ministra Schwartza.

Zresztą tak jest trudno znaleźć się w cudzej skórze, że i jemu nie udało się wniknąć dostatecznie w policyjno rządowy światopogląd.

Oto naprzykład pisze o szkole polskiej:

„Duchem panującym w tej szkole jest duch pracy, duch nauki a ideją przyświecającą tej pracy — przygotowanie się na użytecznych obywateli" — i bezpośrednio potym pyta: „Czegóż więcej wymagać można od szkoły ze stanowiska policyjno-rządowego?"

Takiego pytania nie zadałby żaden inspektor; nie zadałby go nawet v. Anrep, który odpowiedział na nie w pamiętnej formule, zagłosowanej i przez Koło polskie.

Punkt widzenia państwowy, z którym autor zupełnie się solidaryzuje, jest to wstręt i pogarda dla wszelkich ruchów rewolucyjnych wogóle, dla strajku szkolnego w szczególności. To stanowisko — jak widzimy — nie tyle harmonizuje z tradycjami narodowej demokracji i zasługami, które sobie przypisywała, ile z ostatnimi oświadczeniami p. Dmowskiego, że racją bytu i naczelnym zadaniem tego stronnictwa była walka z rewolucjonistami.

W *jasnym* oświetleniu *Głosu Warszawskiego* okazuje się, że największą krzywdą, jaką nam szkoła rządowa w Królestwie Polskim wyrządziła, było zrewolucjonizowanie młodzieży i strajk szkolny. Szkoła państwowa osłabiła, jego zdaniem, wpływ rodziny na młodzież i skutkiem tego „młodzież okazała się w istocie bardzo niezależną od starszych, od własnych rodziców, ale tę niezależność najsilniej objawiła tam, gdzie starsi i rodzice występowali po stronie szkoły, gdzie ją odmawiali od buntu przeciw szkole".

Autor ma słabą pamięć, lub też liczy na słabość pamięci tych, do których przemawia, powinienby zaś brać pod uwagę odstraszający przykład p. Dmowskiego, któremu ta niedokładność wspomnień przyczyniła się do zwichnięcia politycznej karjery, gdy mu zaczęto w Petersburgu przypominać, co mówił w Warszawie.

W dniu 19 lutego 1905 r. zamanifestowano publicznie solidarność polskich rodziców z polskimi dziećmi zarówno w żądaniu szkoły polskiej, jak i w stanowisku zajętym względem szkoły rosyjskiej. Ówczesną rezolucję — (jak wiemy, *niesłusznie*)—narodowa demokracja przypisywała swej zasłudze i pierwsza ją światu obwieściła. Jeżeli więc dziś czytamy w organie narodowo-demokratycznym skargi na szkołę rosyjską, że nam nasze dzieci zbuntowała, że obezwładniając nasz wpływ utrudniła nam utrzymanie ich w szkole rządowej, jeżeli widzimy takie stawianie rodziców polskich w jednym walczącym szeregu pokrzywdzonych obok przedstawicieli rosyjskiej idei państwowej — przeciw *zrewolucjonizowanym* i *zanarchizowanym* wychowańcom szkół rosyjskich, którzy zjazdem w Zakopanem dali dowód swej nielojalności, — to wyznać musimy, że jest to jedna z najwstrętniejszych maskarad politycznych narodowej demokracji. Nie braknie tam innego kwiecia z tej samej łąki.

Jest przecież ubolewanie nad tym, że młodzież, której nauka szkolna pokarmu umysłowego nie dostarczała, padała ofiarą „tendencyjnych popularyzatorów wiedzy", posiadających uznanie panienek, dla których „po salonikach miewali wykłady" a „nie umiejących znaleźć granicy między wykładem a propagandą". Od tych wszystkich klęsk t. j. od propagandy niezdrowych doktryn, od zrewolucjonizowania i rozpolitykowania, od nielojalności państwowej i niesubordynacji domowej, może nas—zdaniem *Głosu Warszawskiego*—uchronić tylko szkoła polska, ona też jedynie daje rządowi gwarancję „umocnienia idei państwowej" — o którą chodzi kierownikom nawy politycznej i co „jest ich pierwszym obowiązkiem".

To powiedziawszy, rozwodzi się jeszcze *Głos Warsz.* długo i szeroko o wychowawczej wartości szkoły polskiej, o całkiem zrozumiałym przywiązaniu społeczeństwa polskiego do mowy ojczystej, o zupełnej niesłuszności zamknięcia Tow. Wpisów Szkolnych, i tu jest bez zarzutu — a potym pyta, jaki jest powód niechęci władz do legalnej przecież szkoły naszej?

W zakończeniu tych wywodów, czytamy wreszcie osobliwą konkluzję: „Bojkot gimnazjów rosyjskich faktycznie nie istnieje" — nie istnieje zaś dla tego, „że szkoła polska, przywiązawszy młodzież do pracy, do nauki, odciągnęła ją zupełnie od polityki".

Zestawienie jednego z drugim daje taki treściwy wynik: największą klęską, jaką na społeczeństwo polskie ściągnęła szkoła rosyjska, był strajk szkolny i bojkot rządowej szkoły, w zamian za to szkoła polska, — chlebem płacąc za kamień, — spowodowała zaprzestanie bojkotu.

To się nazywa wedle *Głosu Warszawskiego* — *jasne* postawienie kwestji szkolnej.

Warto je wciągnąć do roczników naszego życia publicznego i zacytować wtedy, gdy kameleonowe stronnictwo — jeszcze inną przywdziawszy barwę — podlegnie jakiejś nowej chorobie pamięci i z nowymi hasłami wystąpi.

W naszym mniemaniu, zamiast tych wszystkich sztuczek djalektyczno dyplomatycznych sto razy cenniejszym, lepiej odpowiadającym zarówno naszej godności jak i naszym interesom narodowym jest istotnie jasne postawienie kwestji.

Polacy — jak każdy naród chcący żyć i rozwijać się, — potrzebują własnej szkoły jak chleba powszedniego. Jest to pewnik nie potrzebujący dowodzenia, żądanie tak naturalne, że nie wymaga obrońców,—dążenie żywiołowe, którego strajk szkolny był symptomatem wybuchowym, a podtrzymywanie szkoły prywatnej mimo jej upośledzonego prawnie stanowiska—objawem spokojnym i trwałym — a niemniej wymownym.

Nie uzurpując sobie prawa interpretowania „idei państwowej" — nie próbując w tym względzie czynić

---

4)

Sibilla Aleramo.

KOBIETA

przełożyła z włoskiego

STANISŁAWA GALLONE.

(Ciąg dalszy).

Inni spostrzegali również zmianę we mnie.

Od roku pracował w biurze fabrycznym mieszkaniec tego miasta, syn drobnych właścicieli, przystojny młodzieniec, o swobodnym obejściu, którego traktowałam jak dobrego towarzysza, zamieniając z nim żarty lub rozmawiając serdecznie w chwilach wolnych od pracy, a szczególniej gdy pozostawaliśmy sami w wielkiej sali, gdzie stały nasze stoły. Wiosny tej, szacunek lekko ironiczny, jaki dotychczas mi okazywał, zastąpiło zachowanie się bardziej naturalne, a pełne zachwytu. Opowiadał mi o miasteczku, o tym, co towarzysze jego mówili, i jak dopytywali się o mnie z wielką ciekawością: opisał mi jednego z nich, który podobno był zakochany we mnie i chciał mnie wykraść; zdarzało się to często w tych okolicach, poczym następował ślub. Śmiałam się i wspominałam ojca, którego imię było postrachem. Rzeczywiście, nie bez znudzenia, spotykałam nieraz wzrok mego szesnastoletniego wielbiciela.

Towarzysz mój mówił mi również, że proboszcz kilka razy wspominał nas w kościele, uważając nieszczęście matki jako karę boską. Opowiadał mi, że niektóre stare kobiety, widząc mnie, żegnały się znakiem krzyża. Nazywał mnie „djabełkiem", zdawał się patrzeć na mnie jak na tajemniczą i, być może, niebezpieczną osobę. Wkrótce ośmielił się opowiadać mi o rzekomych zachwytach mężczyzn nad mymi powabami fizycznymi. Jego słowa i uczucie obrażały mnie, lecz jednocześnie schlebiały mi. Czułam w nich podkład szczerości i, mimo rodzącej się dumy, wybaczałam mu, choć zapominał chwilami, iż byłam córką jego zwierzchnika.

Odpowiadałam żartobliwie, by dać mu do zrozumienia, że nie przywiązuję wagi do tej gry. Czasami

konkurencji ministrom rosyjskim, z naszego punktu widzenia możemy tylko stwierdzić, że z postulatami tej idei godzić się będziemy o tyle, o ile ona pogodzi się z naszymi — zaczynając od najelementarniejszego żądania: polskiej szkoły dla polskich dzieci.

Kwestja rusińska w Galicji.

Sprawa rusińska w Galicji ma wielkie znaczenie nietylko lokalne, lecz i szersze, gdyż stosunki polsko-rusińskie w tej prowincji muszą koniecznie wpływać na odpowiednie stosunki w Rosji. W procesie przekształcania się państwa rosyjskiego, Rusini niezawodnie odegrają rolę znaczną, tworząc wśród autonomistów siłę poważną. Dlatego też dla tych wszystkich, którzy przywiązują wagę do dążności autonomicznych w Rosji, ważnym jest zbliżenie się Polaków z Rusinami.

Stosunki polsko-rusińskie w Galicji są bardzo mało znane w Królestwie Polskim, tymbardziej, że prasa narodowo-demokratyczna przedstawia je w świetle fałszywym; publicystyka zaś polska w Galicji nie stoi na wysokości zadania i kwestję rusińską traktuje albo nieprzychylnie, albo zbywa ją ogólnikami.

Zadaniem moim, w artykule niniejszym, będzie zwięzłe przedstawienie gienezy sprawy rusińskiej w Galicji, jej stanu obecnego i możliwego jej rozwiązania.

I.

Plemię małoruskie przechodziło w rozwoju dziejowym odmienne koleje od wielkorosyjskiego: wytworzywszy w X wieku państwo dość rozległe, chociaż słabo spojone, własną cywilizację, rozwijającą się pod wpływem Bizancjum, zostało powstrzymane w swej ewolucji politycznej, a nawet cofnięte przez najazdy plemion koczowniczo-barbarzyńskich, oraz ciągłe wojny domowe książąt ruskich. Najazdy Tatarów zniszczyły Ruś kijowską, która później dostała się w posiadanie Litwy, zachodnia zaś Polski. Po połączeniu się Polski z Litwą, niemal cała Ruś znalazła się w obrębie Rzeczypospolitej. Plemię małoruskie, zróżniczkowane już na stany, okazało zrazu słabą odporność wobec państwowości i kultury polskiej, warstwy wyższe zaczęły się szybko polonizować. Odrębność narodowa Małorusinów w stosunku do Polaków wyrażała się przedewszystkim w religji i języku. Ruch umysłowy w Europie w XVI wieku, który odbił się silnym echem w Polsce, był bodźcem do powstania w polskiej części Rusi literatury religijno-politycznej, która rozwinęła się tam silnie w końcu XVI i w początkach XVII wieku. Ruch narodowo-małoruski szedł ze Lwowa, Kijowa i innych miast, w których przy poszczególnych cerkwiach istniały bractwa religijne o charakterze narodowym, biorące swój początek jeszcze w czasach pogańskich. Rozwijały one energiczną działalność wraz z niższym i średnim duchowieństwem w kierunku narodowym. Wyższe duchowieństwo ulegało wpływom polskim.

Unja brzeska spowodowała rozłam w religijno-narodowym ruchu małoruskim. Ci co ją przyjęli ulegli dość szybko polonizacji, pozostali przy prawosławiu zachowali większą odporność. Narodowa kultura małoruska rozwijała się i nadal w Rzeczypospolitej, pomimo tego, że władze polskie stosowały pewne ograniczenia wobec Rusinów. Kultura ta przedostała się do państwa moskiewskiego i odegrała w nim, po pewnym czasie, dużą rolę.

Małoruski ruch narodowy w Rzeczypospolitej, koncentrujący się w miastach, znalazł sojusznika w kozaczyźnie. Nie mogę tu dla braku miejsca zatrzymywać się nad jej gienezą, zaznaczę tylko, że powstała na tle socjalnych stosunków Rzeczypospolitej, skupiała w sobie żywioły różne, włościańskie, drobnomieszczańskie i rzadziej szlacheckie niezadowolone z rozmaitych powodów, natury ogólnej i osobistej, z rządów polskich. Pod względem narodowym ogromną przewagę w kozaczyźnie miały żywioły małoruskie.

Szlachta polska walczyła z kozaczyzną przedewszystkim jako z niebezpiecznym dla jej panowania żywiołem socjalnym; kwestja narodowa odgrywała tu rolę podrzędną.

Wynikiem walki Rzeczypospolitej z kozaczyzną była utrata większej części Ukrainy, którą zabrała Moskwa. Na przynależności do państwa moskiewskiego Ukraina nic nie zyskała: autonomji nie otrzymała, centralizm zniweczył jej odrębność, poddaństwo się rozszerzyło, małoruski ruch narodowy i kulturalny osłabł znacznie w końcu XVII i w pierwszej połowie XVIII wieku, zarówno z powodu wojen, jak i dlatego, że po odpadnięciu Kijowa z częścią Ukrainy zerwał się w znacznym stopniu związek między ogniskami ruchu małoruskiego w Rzeczypospolitej i w państwie moskiewskim.

W granicach Polski poczucie odrębności narodowej Małorusinów było większe, aniżeli w Ukrainie

---

zmieniałam nagle przedmiot rozmowy i wciągałam młodzieńca, bez wykształcenia, o poglądach ciasnych i banalnych, w rozprawy, w których łatwo było go pobić. Śmiałam się wtedy głośnym, długim śmiechem, tak dziecinnym w gruncie, że w końcu i on śmiał się razem ze mną; twarz jego jednak pokrywał wyraz naiwnego zdumienia.

Drugą ofiarą mych dziwactw była pewna staruszka, opiekująca się matką. W rozmowie robiła aluzje do mej przyszłości, do czasu, w którym będę żoną i matką i śmiać się będę z mojego teraźniejszego stanowiska „urzędniczki"; spokojna odpowiadałam, że *nigdy za mąż nie wyjdę*; że szczęśliwą być mogę tylko w życiu wolnym i pracowitym, że zresztą wszystkie dziewczęta powinnyby zrobić tak jak ja... Małżeństwo... to instytucja nieudana, powtarzał zawsze ojciec.

Staruszka oburzała się: „ale wtedy świat zginie, nie będą rodziły się dzieci! nie rozumiesz?"

Mieszałam się i milkłam. Matka już od lat paru tłumaczyła mi tajemnicze funkcje organizmu kobiecego, nie zatrzymując się jednak nad stosunkiem mężczyzny do kobiety. Bezwątpienia, jeśli ojciec popierał zniesienie małżeństwa, myślał, że dzieci rodzić się będą jak zwykle. Ojciec nie pragnął końca świata. A ja zresztą nie czułam odpowiedzialności wobec przyszłości. . Nie, nie wyszłabym za mąż!

Matka była obecną przy tych sporach, nie brała jednak w nich udziału, była coraz bardziej milczącą, zamkniętą w sobie. W końcu wiosny ojciec zaproponował, by pojechała wraz ze mną na miesiąc do krewnych, do Turynu. Jakaż wielka odpowiedzialność! Obawiałam się, że popełni znowu jakiś czyn szalony, okropny.

W podróży zdawały się jej wracać wiara, spokój i siły fizyczne; moje ponure obawy rozwiały się więc nieco i powróciła mi część odwagi.

I znowu przyszło lato. Kończyłam lat piętnaście. Na wybrzeżu, gdzie zbierało się towarzystwo kąpielowe, obserwowano mnie ciekawie; mężczyźni różnego wieku przyglądali mi się natarczywie.

Najpierw chorowity, szyderczy młodzieniec, potym inny, zaledwie dorastający, silny i giętki, z głową pokrytą jasnymi lokami, przypominający mi niektóre bronzy muzealne, zajęli mą wyobraźnię, nie wzbudzając ani bicia serca, ani kokieterji. Ze śmiechem zapytywałam samą siebie? „czy też się zakochałam?" Zabawa podobała mi się, nadawała nowy urok życiu, które kochałam tak gorąco. Kołysząc się godzinami

moskiewskiej. Tutaj lud wiejski a po części drobnomieszczaństwo używały języka małoruskiego, warstwy zaś średnie i wyższe zarzuciły go prawie zupełnie, zachowując jednak ku niemu pewne sympatje.

Poczucie narodowościowe tych warstw polegało tylko na pewnych tradycjach odrębnych, nieokreślonych westchnieniach do kozaczyzny, przywiązaniu do miejscowych obyczajów.

W końcu XVIII i na początku XIX wieku zjawiło się kilka utworów literackich w języku małoruskim. Miało to ogromne znaczenie dla rozwoju narodowego Małorusinów. Zaczęto też zbierać pieśni ludowe i wogóle materjały etnograficzne. Język małoruski zaczął się rozwijać, okazując wielką giętkość i zdolność do wyrażania najrozmaitszych uczuć i pojęć. Taras Szewczenko podniósł odrazu literaturę ukraińską, otwierając jej rozległe perspektywy. Ruch ten odbywał się w granicach Rosji i obejmował początkowo małe koło ludzi.

Nie mogę tu opisywać dalszych losów ruchu rusińskiego w państwie rosyjskim; zaznaczę tylko, że brak wolności politycznej wogóle, wraz ze specjalnymi represjami wobec tego ruchu osłabiły go znacznie i utrudniły dalszy jego rozwój. Dlatego też w Rosji aż do czasów ostatnich przed manifestem konstytucyjnym — ruch narodowy rusiński był dosyć słaby. Niedawno dopiero ożywił się i znacznie zróżniczkował.

Inaczej było i jest w państwie Austro-Węgierskim. Rusini zamieszkują tam wschodnią Galicję, część Bukowiny i mały skrawek półn.-wschod. Węgier.

W epoce panowania „oświeconego absolutyzmu", za Marji Teresy i Józefa II, rząd austryjacki usiłował podnieść poziom kulturalny Rusinów, jak i innych narodów monarchji; chodziło mu jeszcze o to, żeby w Galicji oprzeć się na Rusinach i mieć wśród nich przeciwwagę wobec Polaków, ciążących do istniejącej jeszcze, choć zmniejszonej znacznie Rzeczypospolitej. Cesarzowa Marja Teresa założyła najpierw dla duchowieństwa rusińskiego na Węgrzech specjalne liceum. W 1774 r. założonym zostało seminarjum w Wiedniu dla unitów, zwane Barbarerum. Józef II założył takież seminarjum we Lwowie. W powstałym w 1784 r. uniwersytecie lwowskim utworzył kilka katedr rusińskich. W nowych szkołach ludowych, wschodniej Galicji, niższego i wyższego typu, wykładano z początku w języku rusińskim.

Taki stan rzeczy nie trwał jednak długo: następcy Józefa II mieli inne od niego zapatrywania na kwestję ruską w Galicji. Po części pod wpływem Polaków język rusiński został usunięty ze szkół ludowych jako wykładowy, pozwolono tylko na zakładanie równoległych szkół z wykładowym językiem rusińskim, o ile ludność sobie tego życzy. W 1808 r. zwinięto katedry z wykładowym językiem rusińskim w uniwersytecie lwowskim. Stało się to na żądanie duchowieństwa rusińskiego, gdyż rząd uważał kształcących się w języku rusińskim za mniej wykształconych i oceniał ich niżej od tych, co słuchali wykładów w języku łacińskim.

Skoro jednak ruch narodowościowy już powstał wśród Rusinów, nie mógł zaniknąć, to też mimo nieprzychylnych warunków rozwijał się dalej, w drugiej ćwierci XIX wieku, zwłaszcza po roku 1830. Polski ruch wolnościowy w Galicji nie pozostał bez wpływów na Rusinów, których pobudzał do pracy nad ludem i wogóle do rozpoczęcia żywszej akcji.

W seminarjum lwowskim w czwartym dziesięcioleciu XIX wieku powstało kółko młodzieży. W jego gronie znalazła się słynna trójca, która miała duże znaczenie w odrodzeniu narodowym Rusinów w Galicji. Składali ją: Izaszkiewicz, Gołowacki i Wagilewicz, którzy zajęli się badaniem historji, literatury i etnografji rusińskiej. Ruch zainicjowany przez nich spotkał się z oporem biurokracji i władzy duchownej...

W czasie burzy wywołanej przez rewolucję 1848 roku, ruch rusiński znacznie się ożywił. Warunki, w których dotąd rozwijał się w Galicji, wycisnęły na nim swe piętno, ponieważ stosunki polsko-rusińskie były od wieków naprężone i wytworzyły antagonizm między dwoma narodami, więc ich porozumienie się, nawet w tak przełomowej chwili jak rok 1848, było ogromnie trudne; Rusini naogół przyzwyczaili się patrzeć na rząd austryjacki i na dynastję jako na swych naturalnych opiekunów; skutkiem tego rusiński ruch w czasie rewolucji odznaczał się pewnym konserwatyzmem, uniżonością dla rządu austryjackiego i niedowierzaniem względem Polaków. Już wówczas Rusini wysunęli szereg żądań nie bez udziału gubernatora Stadjona, stojącego na czele rządu w Galicji. Najważniejsze postulaty były następujące: 1) Podział Galicji na Wschodnią rusińską i Zachodnią polską; 2) wprowadzenie do szkół w Galicji Wschodniej języka rusińskiego, jako wykładowego, 3) utworzenie instytucji społeczno-kulturalnej rusińskiej na wzór czeskiej Maticy. Słabą stroną żądań Rusinów był brak jasnej koncepcji konstytucyjnej, obojętność wobec swobód obywatelskich. Zjednało to im niepochlebną nazwę tyrolczyków Wschodu.

---

całymi na falach, pod gorącymi promieniami słońca— utożsamiałam się z naturą. Byłam „człowiekiem", małym człowiekiem, wolnym i silnym; czułam to i doświadczałam niewypowiedzianej rozkoszy, rozpierającej mi piersi.

Lecz w domu smutek wracał coraz częściej. Usposobienie matki gorzkniało, uwidoczniając wzrastający brak równowagi jej umysłu i duszy. Ojciec nie wahał się ostro jej go wytykać.

Dzieci były bardziej niż kiedykolwiek zaniedbane. Już dawno minęły czasy, kiedy ojciec bawił się z nami jak dziecko. Zmęczenie, obojętność dla rodziny były coraz widoczniejsze. Z nadejściem jesieni, tłumacząc się zajęciem do późnej nocy w fabryce, ukazywał się jedynie w godzinach posiłku. Bardziej niż kiedykolwiek wymagający w stosunku do robotników, nawet mnie poddawał ostremu rygorowi i traktował z lodowatym chłodem.

Ze zdumieniem szukałam przyczyny... Towarzysz mój biurowy nie dał mi długo szukać. Często pozostawaliśmy sami w wielkiej sali, w której stołki i stoły zasłane były papierami i księgami. W pośrodku gorzał piecyk, czyniąc nieraz powietrze nieznośnym. Drugi urzędnik przychodził w godzinach popołudniowych, jeszcze inny był prawie zawsze nieobecny. W przerwach w pracy to rozmawialiśmy żartobliwie, to prowadziliśmy rozmowy mniej lub więcej poważne, przerywane i wznawiane w ciągu dnia.

Drażniło mnie w nim wiele rzeczy, nie zawsze ukrywałam to, lecz on nie wiele robił sobie z uwag dzieciaka, zdziwiony trochę mą niezależnością, być może nawet wyższością, przywykły zresztą do uważania kobiety za istotę, z natury rzeczy, poddańczą i niższą. Nie wiedziałam nic o nim; niejasno tylko obiło mi się o uszy, że dziewczyna, którą kochał, a którą po powrocie z wojska porzucił — chciała popełnić samobójstwo. Ojciec nie lubił go, znosił go, gdyż był dobrym pracownikiem, lecz łajał mnie surowo, ile razy zastawał nas rozmawiających.

Czy była to zemsta? Kolega mój opowiedział mi to, co było już wiadomym wielu osobom: że ojciec ma kochankę, byłą robotnicę fabryczną, że stosunek zawiązał się na wiosnę, podczas nieobecności mej matki i mojej; że prawie co wieczór ojciec chodził za miasto do domku, w którym utrzymywał ją i jej całą liczną i biedną rodzinę.

Ojciec!... Rozjaśniły mi się tysiące drobnych zdarzeń; nie można było nie wierzyć odkryciu...Czułam,

Polacy w 1848 r. nawet najradykalniejsi byli gotowi robić Rusinom pewne drobne koncesje językowo-kulturalne, jednakże dalecy byli od uważania ich za naród odrębny; tymbardziej, że czcili tradycję Unji Lubelskiej i poza ckliwe frazesy, opierające się na niej, nie wychodzili. W takich warunkach o porozumieniu mowy być nie mogło.

(D. n.) *Ludwik Kulczycki.*

Socjalizm reformistyczny we Francji.

W tym samym czasie, kiedy Bernstein podejmował rewizję dawnego „Manifestu", na terenie ściśle zresztą teoretycznych dociekań — budził się we Francji i zataczał wielkie kręgi t. zw. *reformizm*, który jest już konkretnym zastosowaniem idei, przejrzanej i poprawionej odpowiednio do wymagań miejsca i czasu. Nowy ten kierunek różni się bardzo znacznie od klasycznego szablonu, co nie znaczy zresztą, żeby się miał przeciwstawiać Marksowi... który pono nie był nigdy „marksistą". podobnie jak Chrystus nie był katolikiem. Wydany w r. 1903 zbiorek 10 mów programowych A. Milleranda stanowi niejako zwięzły wyciąg teorji reformistycznej [1] i tym bardziej zasługuje na uwagę, że autor pomiędzy 1899 i 1902 r. piastował odpowiedzialną godność ministra handlu w gabinecie radykalnym Waldecka-Rousseau. To też nakreślony przezeń program, obok nieodzownych pierwiastków agitacyjnych, zawiera szereg wskazań czysto politycznych, znamionujących zmysł rzetelny prawdziwego męża stanu, u którego ideał oddalony nie przytłumia poczucia doraźnych obowiązków.

* * *

Socjalizm — oświadcza Millerand na wstępie — stawia sobie za cel w dziedzinie społecznej zniesienie klas, podobnie jak Rewolucja Francuska w dziedzinie politycznej dążyła do obalenia kast i przywilejów. Stąd wypływa pierwszy bezpośredni wniosek, że demokracja (resp. Rzeczpospolita) jest formułą polityczną socjalizmu, ten ostatni zaś jest gospodarczo-społecznym wyrazem demokracji.

Socjalizm pragnie, aby najmita wzniósł się do godności stowarzyszonego współdzielcy, co bynajmniej nie pociąga za sobą zniesienia własności prywatnej — byłoby to rzeczą monstrualną — lecz przeciwnie — zmierza do przetworzenia jej i rozpowszechnienia, by dla każdego stanowiła nieodzowny i naturalny atrybut życia i rozwoju.

Na to ciekawe twierdzenie kładzie Millerand znaczny nacisk, zastrzegając się zarazem przeciwko wszelkim próbom tworzenia szczegółowych planów przyszłego ustroju. „To są nieszkodliwe mrzonki; mogą być nawet użyteczne, o ile są traktowane li tylko jako dzieła wyobraźni, zmieniane co dnia ruchliwym palcem rzeczywistości. Ale stają się niebezpieczne, a nawet zgubne, jeśli krystalizują w sobie czyn i myśl socjalistyczną. Doświadczenie bowiem wykazało, do jakiego stopnia spaczenia dojść mogą w krótkim nawet przeciągu czasu koncepcje gienjalnych ludzi..." Zamiast niewolniczego przestrzegania formuł, należy panować nad nimi, wycofywać je i zmieniać, zależnie od postępów życia.

Zauważę w nawiasie, że i Vandervelde w którymś ze swoich artykułów ostrzega wymownie socjalistów przed wszelką nazbyt pośpieszną budową apriorystycznych formuł w okresie, jak nasz, obfitującym w doniosłe odkrycia i wynalazki w dziedzinie zwłaszcza chemji, elektryczności i mechaniki. „Celem naszym — woła Millerand — nie jest budowa kaplic dla wyodrębnionej sekty zbawionych i według planów uświęconych przez rytuał dogmatyczny; chcemy poprostu, by świat stał się dla wszystkich ludzi bardziej *mieszkalnym* (*plus habitable*) drogą stopniowego zaniku niesprawiedliwości społecznych, drogą kształcenia człowieka, wyzwalanego stopniowo od wszystkich form wewnętrznej i zewnętrznej tyranji."

W myśl tych zasad reformizm zwraca baczną bardzo uwagę na *wychowanie demokracji* z jednej i na rozległe dzieło *reform radykalnych* z drugiej strony. Reforma radykalna, jak wiadomo, obejmuje reglamentację pracy w dziedzinie bezpieczeństwa, higjeny, ubezpieczeń różnego rodzaju, rozejmu, umów zbiorowych i emerytur robotniczych. Dużo już zrobiono na tym polu; więcej jeszcze pozostaje do zrobienia; jeżeli istnieją wahania, to raczej co do sposobów realizacji, bo na punkcie samej zasady interwencji prawnej w zatargu pracy z kapitałem — dwuch zdań być obecnie nie może. Lecz interwencja państwa posiada właści-

[1] „Le Socialisme Réformiste Français" par A. Millerand, Paris 1903. Société Nouvelle de librairie et d'edition.

że zwijam się, schylam, ogarnięta wściekłym pragnieniem gryzienia ziemi z bólu i wstydu...

Ojciec, ten świetny wzór, stawał się nagle istotą ohydną: on, który wpoił we mnie umiłowanie szczerości, uczciwości, ukrywał przed nami jedną stronę swego życia. Och ojcze! ojcze! Gdzież znikła nasza wyższość, z której tak dumną byłam jeszcze wczoraj?

Zdawało mi się, że spadamy jeszcze niżej od tych wszystkich istot wokoło, których zgniliznę odczuwałam instynktownie. A moje rodzeństwo niewinne? A moja matka, moja matka czy domyślała się? Czułam się teraz pociągniętą ku tej nieszczęsnej całym sercem, pełnym wyrzutów i gniewu przeciw samej sobie.

Może wtedy, gdy próbowała zabić się, ojciec już ją zdradzał? Och i z jakim silnym, spokojnym przekonaniem odepchnęłam wszystkie podejrzenia! Było to zbyt ohydnym!

Niemoc fizyczna i moralna matki nie usprawiedliwiała ojca w mych oczach.

Och, gdybyż można uświadomić go, jego woli przeciwstawić moją, ocalić nas wszystkich!

Lecz ten, co zdradliwie czy nieświadomie zadał mi straszny cios, starał się przekonać mnie o niemożliwości przeciwdziałania, malując mi jednocześnie ponurą przyszłość. Okazywał mi litość, która w każdym innym razie obrażałaby mnie. Nie zwracałam uwagi; czułam jak ściskał moje ręce, pieścił me włosy; zwolna poddawałam się słodyczy tego zbliżenia, podczas gdy drżałam jeszcze z gniewu i rozpaczy.

Czym, czym była ta tajemnicza siła, która nagle mi się ukazała; czym była ta miłość, o której książki dawały mi niejasne, chimeryczne pojęcia? Było to więc coś opłakanego, poniżającego a jednak potężnego, skoro mogło zwyciężyć i upodlić mego ojca!

Życie, którego nie znałam, lecz w które — wierzyłam—zamyka się cel piękna i dobra, ukazało mi się niezrozumiałym, bezkształtnym...

Ile dni przeżyłam w okropnym wzburzeniu duszy? Nie wiem. Pamiętam tylko, że w chwilach wyczerpania, następujących po wybuchach rozpaczy, głos ciepły, młodzieńczy, natarczywy szeptał mi słowa zachwytu coraz mniej tłumionego. Niekiedy czułam się obezwładnioną, odrętwiałą, a ten głos trwał, otulając mnie całym bezmiarem miłości. Zaczynałam odwzajemniać się z trwającą niewiarą, lecz jednocześnie z gorącą nadzieją; stałam się słodką, łagodną. Nie mówiłam mu, że go kocham, nie czułam tego; ale był człowiek, któremu byłam drogą!

wy charakter wtedy dopiero, kiedy poprzedza ją i uzupełnia *wolna inicjatywa* licznych stowarzyszeń samopomocy, związków zawodowych, współdzielczych, wytwórczych i t. d. Zgodnie z teorją solidaryzmu upatruje Millerand w szerokim ruchu zawodowym istotę i przyszłość demokracji społecznej, która dopiero przy warsztacie wspólnych złożonych zadań uczy się poznawać, obok swych praw, swoje *obowiązki*. Z chwilą kiedy proletarjat dorósł do tego poczucia odpowiedzialności i obowiązku — nie jest już tłumem zbuntowanych helotów, lecz zrzeszeniem światłych obywateli, którym z natury rzeczy przypada hegemonja społeczna. Na miejsce bezładnej i niszczącej wojny klasowej (bo bezrobocie jest wojną), tworzy się za pośrednictwem sprawnych organizacji i wykwalifikowanych delegatów rodzaj obustronnego przymierza, normalna styczność pomiędzy pracobiorcami a proletarjatem, zdolnym do podejmowania postanowień dojrzałych i odpowiedzialnych. Ta metoda — stosowana dziś w Anglji i w nowych społeczeństwach anglo-saskich— wychodzi na korzyść nietylko klasowym interesom proletarjatu, lecz i związanym z nimi interesom produkcji narodowej.

* * *

Dotykam tutaj kwestji, będącej kamieniem obrazy dla socjalistów nieprzejednanych: czy socjalizm powinien liczyć się z takimi rzeczami: „interes narodowy” i „solidarność międzyklasowa?”

Millerand daje bez wahania odpowiedź twierdzącą. W obecnym stanie społeczeństw pojęcie bezwzględnej walki klas jest zgoła błędnym: obok *walki* rozróżniać należy i uwzględniać czynnik *współdziałania*, czyli *solidarności*, jak mówi Leon Bourgeois, lub *współzależności*, jak wyraża się prof. Duguit. Zwłaszcza zaś we Francji demokratycznej i postępowej klasa robotnicza wyparłaby się swych najświętszych zadań, gdyby, chroniąc się w gąszcz rewolucyjnej frazeologji, usiłowała zrzucić ze swych bark brzemię wielkiej odpowiedzialności, związane z metodą reformistyczną i z perspektywą socjalizmu.

Ustrój demokratyczny *respect*. Rzeczpospolita jest niezrównanym narzędziem reform, świetnym instrumentem postępu, który wymaga wszelako rąk biegłych i troskliwej uwagi. Pragnąc ten ustrój należycie wyzyskać, klasa robotnicza nie może izolować się od reszty stronnictw postępowych, nie może pozostać nazewnątrz życia zbiorowego, poprzestając li tylko na jałowej krytyce wszystkich i wszystkiego.

W polityce wewnętrznej socjalizm kontynuować musi tradycję demokratyczną, baczyć na porządek w finansach, bo to jest pierwszym warunkiem wszelkich reform; nadto zajmować się winien utrzymaniem i rozwojem produkcji narodowej, prowadzeniem robót publicznych, stanem oświaty, higjeny, kultury; wreszcie bardzo wiele uwagi poświęcać winien meljoracjom przemysłowym, handlowym i rolnym.

W polityce zewnętrznej zainteresowana jest klasa robotnicza Francji narówni z innymi w utrzymaniu pokoju i co za tym idzie — ciągłego pogotowia zbrojnego aż do czasu, kiedy zgodne rozbrojenie wszystkich mocarstw nie stanie się możliwym. Wówczas dopiero Francja przestanie być na łasce potężnego sąsiada od wschodu i zwlec będzie mogła kolczugę bojową. Obok zadań obrony narodowej. socjalizm popierać musi złożone dzieło umów i porozumień międzynarodowych, które niepostrzeżenie, ale stale, ściągają węzły wszechświatowego współżycia i ponad różnojęzycznym gwarem narodów wznoszą sztandar ogólnoludzkich interesów. Budując tedy przyszłość, socjalizm ani na chwilę nie może zapominać o dorobku zeszłych pokoleń, ani też o ciężkich obowiązkach chwili bieżącej.

* * *

Czy socjalizm jest rewolucyjny? „Nie boję się słów — powiada Millerand —- ale lękam się frazesów mniej lub więcej niejasnych.” Zapewne — zniesienie najmictwa jest aktem zgoła rewolucyjnym, ale nie jest aktem gwałtownej przemocy. Rewolucyjność celu bynajmniej nie pociąga za sobą rewolucyjności środków — twierdzi Millerand zgodnie z Bernsteinem.

„Miejmy odwagę nazwać się właściwym mianem „reformistów”, skoro jesteśmy stronnictwem reform. Posuńmy tę śmiałość do końca, akceptując warunki i skutki naszej metody. A przedewszystkim — uczyńmy wybór konieczny pomiędzy metodą, która każe odwlekać cały ogrom przebrażeń aż do niewiadomego dnia, kiedy nagły cud zmieni wygląd świata — a metodą, będącą wysiłkiem wytrwałym, upartym, codziennym w celu zdobycia piędź po piędzi wszystkich placówek postępu...”

Zarówno gwałt, jak i zniesienie wszelkiej własności — wywodzi śmiało Millerand — byłyby sprzeczne z zasadą socjalizmu i z faktami życia. Istotnie: idea socjalistyczna polega na zapewnieniu każdej jednostce w kadrach społecznych całkowitego rozwoju osobowości. Pociąga to za sobą dwa warunki, ściśle związane: *władanie* masą przedmiotów niezbędnych i pożytecznych dla jednostki oraz nieskrępowanie jej ruchów czyli *wolność*, która jest pustym dźwiękiem o ile nie ma własności za podstawę i rękojmię.

Jakim sposobem matka dowiedziała się o swym nieszczęściu? Pewnego dnia, wieczorem, po kolacji, przyszło do ojca, nie wiem już pod jakim pozorem, kilku znajomych, między innymi notarjusz, osobistość bez wartości, miodowo słodki, jak się zdaje, powiernik jego i mój kolega biurowy. Rozmawiano. Matka wybuchła nagle konwulsyjnym śmiechem i zwracając się do notarjusza spytała: „Czy to prawda, że pan towarzyszy memu mężowi w jego nocnych wycieczkach w stronę rzeki? Może mi pan opowie o czym wtedy rozmawiacie?”

Mężczyźni zamienili trwożliwe spojrzenia. Mama blada, drżąca, tłumacząc się niezdrowiem, odeszła.

Zostaliśmy w pokoju: ojciec, ja i goście. Na twarzy ojca widziałam hamowaną straszną wściekłość; prawie szeptem powiedział:

„Ta kobieta szaleje!”

Gwałtownie przerwałam: „ja również oszaleję, ojcze!” I zatopiłam w jego twarzy oczy z rozpacznym buntem.

„Milcz, ty!” krzyknął i rzucił się, by mnie uderzyć, lecz z najwyższym wysiłkiem opanował się, rozkazując: „wyjdź!”

Nie pamiętam jak przeszła ta noc.

Następnego ranka, matka, rozgorączkowana, próżno oczekiwała odwiedzin ojca, napewno by prosić go o przebaczenie. Mnie oznajmił, że z końcem miesiąca kończy się moje zajęcie w biurze! Była to odpowiedź na moje zdanie z poprzedniego wieczoru.

Kiedy znalazłam się w biurze, nie mogłam powstrzymać łez: kochałam tę pracę wśród robotników, myśl zaprzestania jej wydawała mi się straszną. Nie wyobrażałam sobie żadnej innej odpowiadającej moim upodobaniom i naturze. Zwierzyłam się z tego memu koledze.

„A o mnie pani nie myśli? Co ja zrobię?” wyszeptał. Wrócił do swego stołu, ukrył twarz w dłoniach. Nerwowe drganie wstrząsało jego ramionami. Zbliżyłam się do niego, zapominając o zmartwieniu; przyciągnął mnie i przycisnął, drobną, do swych piersi.

„Jak byłaś piękną wczorajszego wieczoru, jak dumną, jak pragnąłem całować twe kolana...”

Tej rękojmi ustrój obecny nie daje. W zamęcie anarchji kapitalistycznej nikt nie jest bezpieczny. Rolnicy, przemysłowcy, kupcy, inteligenci, artyści, a zwłaszcza robotnicy — wystawieni są na ciągły hazard, na niepewność jutra. Lecz to właśnie czyni koniec tego ustroju pożądanym nieomal dla wszystkich. To też kolektywizm jest prostym stwierdzeniem faktów, każdemu rzucających się w oczy. Kolektywizmu się nie robi: robi się on sam, co dnia, stanowiąc rodzaj wydzielin obecnego ustroju. Za wzrostem przedsiębiorstw, za ogniskowaniem olbrzymich środków wytwórczych w niewielu rękach — idea *wywłaszczenia* postępuje, jak cień. A czyż biorąc na się wodociągi, oświetlenie, siłę przenośną motorów, środków komunikacji i maszyn rolniczych — większość gmin miejskich i wiejskich nie zastąpiła w swoim zakresie produkcji kapitalistycznej — nową, zbiorową produkcją? I czyż nie uczyniła tego gwoli właśnie ogólnego dobra, za zgodą wszystkich osób zainteresowanych? „To też powiedzieć trzeba raz na zawsze — konkluduje Millerand — że socjalizm nie jest jakowymś buntem zrozpaczonej mniejszości, lecz przeciwnie—dziełem większości praktycznej i świadomej". Poco i przeciw komu używać mamy gwałtu i przemocy? W dążeniu do zdobycia *władzy politycznej* głosowanie powszechne jest środkiem koniecznym dla nas i wystarczającym." Lecz aby użyć tego środka skutecznie, socjalizm musi przestać być kierunkiem *nieletnim* i trzymającym się na uboczu: musi zaniechać dotychczasowych wymówek i pospołu z partjami postępowymi przystąpić do powszedniej, czynnej pracy.

Leon Gorecki.

Mroki i błyski światła.

Ostatni zeszyt *Kultury Polskiej*, śród innych aktualnych kwestji, porusza sprawę tanich wydawnictw. Słusznie autor pracę swą zatytułował „Niziny czytelnictwa" — omawia bowiem rozchodzącą się w tysiącach egzemplarzy specjalną literaturę, która od lat paru zalewa mózgi najbiedniejszych a najmniej kulturalnych robotników, szwaczek, młodzieży szkolnej wstrętnymi obrazami zbrodni i zwyrodniałych instynktów, gra na nerwach czytelników przygodami Scherlocków Holmesów, Nick Carterów, Jack Texsów i innych quasi bohaterów.

Cena tych wydawnictw przystępna dla każdego, tytuły szumne i zręczna reklama niemało przyczyniają im powodzenia; słusznie zaś mówi autor „każdy potrzebuje choć na krótką chwilę wyjść poza krąg codziennego, szarego życia w świat innych uczuć i myśli", więc nic dziwnego, że wydawnictwa takie w braku innych rozchwytywane są przez szerokie masy.

Nasze stosunki obecne czynią prawie niemożliwym dostarczanie tym masom rozrywek w innej formie: domów ludowych, gdzie każdy znalazłby pożyteczną książkę, interesujący odczyt, lub kulturalną zabawę, nie posiadamy; klubów robotniczych zakładać nie wolno — jednym słowem, bieg naszego życia społecznego, zatamowany ze wszech stron przez reakcję, utrudnia niezmiernie pracę grup czy jednostek. Niestety jednak i tam, gdzie czynić coś można pożytecznego, lub przeszkodzić złemu, z karygodną apatją wyrzekamy się inicjatywy. *Kultura Polska* wskazuje Niemcy, jako źródło owej wstrętnej literatury.

Rzeczywiście w Katowicach, Bytomiu i Poznaniu istnieją firmy wydające w setkach tysięcy egzemplarzy owe zeszyty. Nie spychajmy jednak winy na innych, ukrywając własną. Na polu owych tanich, a szkodliwych wydawnictw nie brakuje naszych własnych, rodzimych fabrykatów: niektóre warszawskie księgarnie, posługując się pracą autorów nie szanujących swego pióra, zasypują rynek uliczny 15-to kopiejkowymi zeszytami pełnymi obrazów krwawych i scen zbrodniczych, nie wahając się szerzyć zarazy moralnej. Zyskuje na tym przedsiębiorca, a w szeregach czytelników — budzą się najniższe instynkty, czego dowodem są stale co pewien czas powtarzające się zbrodnie tego samego, lub podobnego typu, jak w powyższych opisach.

Istnieją też w Warszawie tolerowane przez ogół, a czytane przez lud nasz tygodniki, podobne bardzo i treścią i formą do wyżej wspomnianych opowieści. Taki n. p. *Wiarus*, jest to najwstrętniejsza szmata brukowa. Każdy numer na pierwszej stronicy zawiera obrzydliwą niby ilustrację z dziedziny zbrodni na czasie — treść również pełna niezdrowych sensacji — a kwestji społecznych nie wahają się poruszać niedokształcone pióra, siejąc tylko zamęt w pojęciach. Nasz lud czyta chciwie drukowane słowo i z ciekawością wchłania niedorzeczne opisy, wypaczając wrodzony zmysł prawdy i moralności.

Obowiązkiem opinji publicznej jest bezwzględne piętnowanie nietylko takiej literatury, ale jednostek, które przez chciwość lub lekkomyślność demoralizują proletarjat i młodzież.

Na szczęście obok tych mroków zaciemniających umysły nie brak u nas bezinteresownej i owocnej

---

Przymknęłam oczy. Czy to prawda?

Moja dusza pragnęła odpowiedzi. Pozostałam tak chwil kilka; jego usta spoczęły na moich. Nie odsunęłam się. Zmysły moje nie drżały, jeszcze uśpione, — serce oczekiwało jakiejś wielkiej słodyczy.

Zbliżający się szmer kroków nas rozłączył. Następnego dnia, w chwili samotności, zbliżyłam się znowu do kolegi, który mówił mi, że mnie kocha; i nie pozwalał mi mówić, zamykając usta pocałunkami i obsypując nimi gwałtownie me włosy, twarz, szyję. Odsunęłam się znużona. Ale następnych dni jego pieszczota zdawała mi się konieczną.

Zapominałam w tych chwilach o cierpieniach, jakie przynosiłam z sobą z domu, a które zaostrzały się, gdy spotykałam wzrok ojca...

Kolega mój pojmował mą nieświadomość, stwierdzał mą naiwność, mą oziębłość piętnastoletniej dziewczynki. Żartobliwymi ruchami i uśmiechami maskował podniecenie zmysłowe, które ogarniało go; pieszczoty swe posuwał coraz dalej, kazał oddawać sobie pocałunki jak dług gry, jak przedłużenie pięknego prologu do wielkiego dzieła miłości, która zaczęła rozpalać mą wyobraźnię.

Tak, uśmiechająca się dziecięco, przy drzwiach, dzielących gabinet ojca od biura ogólnego, pewnego ranka pochwyconą zostałam w uścisk niezwykły, brutalny; drżące ręce rwały me suknie, przeginały moje ciało, kładąc je prawie na stołek, podczas gdy instynktownie się broniłam... Dusiłam się; z piersi mej wyrwał się jęk, gdy ręka zatykająca mi usta, odrzuciła mnie daleko...

Usłyszałam szmer szybko oddalających się kroków i trzask drzwi. Chwiejnym krokiem schroniłam się do maleńkiego laboratorjum w głębi gabinetu. Próbowałam przyjść do siebie, uporządkować ubranie — mimo opuszczających mnie sił.

Nagle zabłysło mi straszne podejrzenie.. Wybiegszy z pokoju, zobaczyłam „jego", przyglądał mi się w milczeniu, przerażony, zdyszany. Twarz moja musiała wyrażać okropny wstręt, gdyż dziki przestrach zabłysł w jego oczach, podczas gdy wyciągał ku mnie ręce błagalnym ruchem... (C. d. n.)

pracy ku podniesieniu ogólnego poziomu oświaty. Sprawozdanie z Czytelni Wolskiej za rok ubiegły jest najlepszym dowodem, że instytucje podobne mogą u nas istnieć i znakomicie prosperować.

W r. 1908 obrót finansowy czytelni wynosił 2316 rb., na które składają się wpłaty członków rzeczywistych i popierających, ofiary prywatne oraz abonament książek. Ogółem z książek korzystało 2046 a z pism perjodycznych 484 osób, w tej liczbie najwięcej ludzi pracy i uczącej się młodzieży.

Zarząd, nie zadowalając się jedynie wypożyczaniem książek, wytworzył ścisły kontakt pomiędzy sobą a czytelnikami, czego dowodem są listy i odpowiedzi na kwestjonarjusze, z których wyjątki pomieszczone są w „Uwagach ogólnych."

Drukarz lat 19 pisze: „Czytać bardzo lubię książki, które zachęcają do pracy twórczej i które wykazują całą nędzę i ciemnotę ludu. Autorów takich uwielbiam i cenię wysoko i postanowiłem wykształcić się choć tak, abym później mógł zwalczać ciemnotę, abym mógł nieść choć mały kaganek jarzącego się światła swym ciemniejszym braciom." Dalej opisuje szczegółowo trudności z jakimi walczyć musi o czytanie z rodziną, zwłaszcza z ojcem, który jest nieprzejednanym wrogiem postępu i światła. Wreszcie kończy słowami: „korzyści jakie osiągnąłem z czytania są wielkie, wprost nieocenione. Nieraz gdy wspomnę, że wielu ludzi, mających większą fortunę, kształci swe dzieci w różnych zakładach naukowych, mnie cisną się łzy do oczów: dlaczego to jedni mają, a drudzy nie mają, zadaję sobie takie pytanie, ale nie tracę nadziei, braki w wykształceniu moim starałem się uzupełnić przy pomocy Uniwersytetu dla wszystkich, dziś przy pomocy książek."

Drugi znów robotnik lat 38 mówi, że do 23 roku życia zaledwie umiał sylabizować, — początkowo czytał tylko książki treści religijnej, w ostatnich dwuch latach korzysta tylko z naukowych — najchętniej czyta dzieła z dziedziny przyrody; zachwycają go „Chłopi" „Popioły" i „Tułacze. Bywa czasem w teatrze, ale bardzo rzadko, bo mu na to małe zarobki nie pozwalają — uczęszcza za to do Zachęty Sztuk pięknych, ale nie wszystkie obrazy może zrozumieć. Kończy słowami: „wiem teraz, że wszelka nauka i wiedza dla wszystkich warstw narodu jest potrzebna, bo to wszystko ludzi uszlachetnia i podnosi ducha."

Jakimi drogami ludzie zdobywają oświatę i jaki wpływ na ich umysły wywiera nauka, wyjaśnia ciekawy list konduktora tramwajowego, który nauczył się czytać w roku 14. W młodości przebywał na wsi, gdzie udzielała mu książek córka obywatela ziemskiego, dopóki stosunki dworu ze wsią nie popsuły się z powodu spraw serwitutowych; następnie otrzymywał książki od księdza, ale że ten pożyczał mu je bardzo niechętnie, i to źródło w końcu go zawiodło. Dopiero przyjechawszy do Warszawy miał ułatwione czytanie. Najbardziej interesują go kwestje oświatowe, bo w liście swym zapytuje: „czy i kiedy nastąpi powszechne i obowiązkowe nauczanie?"

Wreszcie zecer lat 22, korzystający z czytelni publicznych od 10 roku życia, pisze, że największe wrażenie na nim sprawiły „Paryż" Zoli i „Tkacze" Hauptmana. W 14 roku odczuwał ciągły niepokój z powodu niezgodności zasad religijnych z życiem — i dopiero punktem zwrotnym w jego życiu umysłowym były dzieła astronomiczne i przyrodnicze, które „ustaliły jego światopogląd." Od 19 roku życia czyta już systematycznie dzieła naukowe. W końcu listu nadmienia „Ja osobiście i inni czytelnicy osiągamy z czytelni tę korzyść, że mamy książki tanio i *bez filantropji* (co stanowi bardzo dużo) i otrzymujemy moralną przyjemność ze świadomości domokratyzacji czytelnictwa."

Kilka przytoczonych wyjątków wystarczają w zupełności, by osądzić jak pożytecznym jest działanie czytelni. Z dzieł naukowych korzysta stosunkowo niewielka ilość czytelników, głównie robotników i młodzieży. W ostatnim roku dało się wyczuć dążenie do czytania utworów powieściowych. Charakterystycznym jest, że starsi najchętniej czytają Kraszewskiego, Krechowieckiego i Trylogję Sienkiewicza — ulubionymi autorami młodych są Żeromski, Reymont, Zapolska, Orzeszkowa i Rodziewiczówna.

Widzimy z powyższego sprawozdania jak bogatym polem dla pracy oświatowej jest rozpowszechnienie czytelnictwa. Każda dzielnica Warszawy powinnaby posiadać filję tanich czytelni, tylko tym sposobem zdołamy zwalczyć propagandę zła i ciemnoty, a zachęcić lud i młodzież do czerpania z przeczystych źródeł wiedzy i światła.

Anna Rosz.

NA DOBIE.

W sprawie szkolnej.

Pan Straszewicz tak się przeraził logicznymi konsekwencjami wysnutymi z jego artykułów, że aż posunął się do zarzucenia nam „niegodziwości."

Nie tylko nie ogłaszaliśmy p. Straszewicza za wroga polskiej szkoły i narodowych ideałów, ale wprost pozwoliliśmy sobie twierdzić, że narówni z nami nie zrzekł się bynajmniej marzeń o autonomji, polskim uniwersytecie w Warszawie i polskim szkolnictwie w całym kraju. Gdyby był z większym spokojem nasz artykuł czytał, byłby to zauważył i spamiętał.

Wyrażenia o *panach* i *hołocie* nie użył, ale unikanie drażliwych wyrażeń nie zmienia treści rzeczy, tylko ją tuszuje. Stawiając w ich miejsce wyrażenia jasne, dosadne i proste, wyświetlamy treść zamgloną omówieniami.

A treść pozostaje ta sama i wiernie została powtórzona przez jego obrońcę pana A. D.: „każdy, *kogo na to stać*, dziecko do szkoły polskiej pośle" — (dla uniknięcia nieporozumień dodajemy, że podkreślenie jest nasze). Z tego powiedzenia wynika, że choć szkoła polska dla polskich dzieci jest z punktu widzenia humanitarnego, pedagogicznego i narodowego niezbędną, *kogo na to nie stać*, winien się jej wyrzec — tak jak się wyrzeka zdrowego mieszkania, dostatecznego pożywienia, pomocy lekarskiej w chorobie i t. p.

Zaznaczyliśmy odmienny punkt widzenia, mianowicie, że dobrze zorganizowane społeczeństwo nie ma prawa robić oszczędności na elementarnych potrzebach biedaków, a zamiast ich zachęcać do pogodzenia się z losem, winno im dostarczyć tego, co jest niezbędnym dla normalnego życia dorosłych, dla normalnego rozwoju dzieci.

Nie nasza wina, że p. Straszewicz stanął na stanowisku tych, co dzielą ludzi na państwo i hołotę i z ich punktu widzenia kwestję szkolną traktował. Stanowisko to jest nam skądinąd już dawniej znane; zaznaczyło się ono w odezwie 43-ch publikowanej latem 1905 roku, gdzie było również powołanie się na ubóstwo społeczeństwa, na brak środków i to podpisane przez ludzi, których środki osobiste mogły były znakomicie popchnąć sprawę naprzód, gdyby tylko byli zechcieli narodowi służyć tym, co mieli najlepszego — to jest kieszenią, nie zaś tym, co było u nich najmniej warte — to jest swą mądrością polityczną.

Niech się p. Straszewicz nie dziwi, że propaganda narodowej wstrzemięźliwości, szerzona wśród tych, którzy obok skromnych dochodów, wyłącznie ze swej pracy czerpanych, posiadają nieraz znacznie większą niż tamci miarę potrzeb duchowych zarówno ogólno-

ludzkich jak narodowych — w najwyższym stopniu jątrzyć musi.

Z punktu widzenia ogólnego jest nawet bardzo szkodliwą, bo — jak fakty dowodzą — żywotność narodu bynajmniej nie na tych się opiera, którym obfite środki na patryjotyzm starczą (zwykle wolą je obracać na bardziej kosmopolityczne przyjemności), lecz na tych co są z narodem związani pracą własną, z której żyją i z której kraj żywią, pracą w tej lub innej formie stanowiącą tworzywo narodowej kultury.

W polemice naszej nie roztrząsaliśmy bynajmniej osobistego charakteru p. Straszewicza, ani jego prywatnych stosunków, lecz wyłącznie wypowiedziane przez niego poglądy na sprawę szkolną. Nie możemy więc o nich zmienić zdania nawet wobec ujawnionego faktu, że p. Straszewicz dzieci swoje kształcił po polsku. Co najwyżej wyrazimy życzenie, by jego czytelnicy nie słuchali jego rad lecz raczej naśladowali jego przykład i to nawet wtedy, gdy wedle opinji taksatorów *Słowa* — nie będzie ich na to stać.

I myli się najzupełniej pan A. D. gdy twierdzi, że p. Straszewicz pierwszy o szkołę polską się upominał. Żądanie to wyszło z tych kół rodziców i dzieci, które o prywatnej domowej nauce ani marzyć nie mogły i musiały się upominać o prawa, bo przywileju nie miały za co kupić.

Polacy zamożni w Polsce mieszkający mogą dzieci wychować nawet po angielsku — co też nieraz czynią — a zaiste nie ci chyba dla szkoły polskiej ponosili i ponoszą ofiary.

O tym co robili w domu i poza domem ci, co wedle wyrażenia p. A. D. „napadają" na p. Straszewicza — wypadałoby raczej milczeć niż wygłaszać dowolne domysły. Nie chodzi tu przecież o rekord cnót domowych i obywatelskich między publicystami, lecz o wszechstronne, szczere i jasne roztrząsanie jednej z palących spraw publicznych. Jest to nietylko rzeczą *godziwą* lecz obowiązkiem sumienia i dlatego niezastraszeni krzywdzącym nas zarzutem p. Straszewicza, wyżsi nawet ponad chęć odwetu, z góry przyznać gotowi wszystkie przypisywane mu przez *Słowo* cnoty, nie przestaniemy twierdzić, że idzie błędną drogą, a kierując na nią innych, szkodliwym się staje.

Waleczna obrona barbarzyństwa.

Za kilka tygodni pojawi się w druku w formie osobnej książki praca p. St. Poraj publikowana w szeregu artykułów w *Kurjerze Lubelskim* p. t. „Nasza rodzima kabała pobożnych". Jest to rzecz niesłychanie ciekawa ze względu na zawarte w niej „dokumenty ludzkie" i zasługuje na wyczerpujące omówienie, z którym wstrzymujemy się jednak aż do pojawienia się broszury na rynku księgarskim.

Tymczasem rewelacje zawarte w „Kabale pobożnych" wywołały już w szerokich kołach czytelników niemałą sensację, a autorkę — jak zwykle bywa — naraziły na bezwzględne i krzywdzące napaści pośrednio lub bezpośrednio przez nią dotkniętych osób.

I nic dziwnego! Wszakże bezpośrednio dotkniętą jest potężna, z 40,000 osób ślubami związanych, złożona instytucja „Honoratek", rozporządzająca dużymi środkami i wielce rozgałęzionym wpływem.

Z tej to organizacji, noszącej imię swego założyciela Ojca Honorata w Nowym Mieście, szerzy się na kraj cały zaraza średniowiecznego fanatyzmu zabarwionego chorobliwą newrozą i barbarzyńskim ascetyzmem.

Tysiące młodych istnień marnuje się tam w mrokach i stęchliznie umysłowej, wycieńczane nieludzkimi umartwieniami, ogłupiane bezmyślnymi ćwiczeniami, ścierane w pył aktami bałwochwalczej pokory dla przełożonych, do których np. podchodzą na klęczkach, całując ich nogi lub zlizując z podłogi kreślone przez nich kredą znaki.

Mordercza walka z pokusami szatańskimi, których ani „krwawe dyscypliny", ani włosienice i kolczaste paski odegnać nie zdołają — kończy się zbyt często przedwczesnym przeniesieniem się na łono wieczności, częściej jeszcze obłędem religijnym.

Nieomal wszystkie pisma postępowe zamieściły za *Kurjerem Lubelskim* wzmianki o „Kabale pobożnych", zainteresowała się nimi i prasa rosyjska, między innymi i *Warszawski Dniewnik* przytoczył ustęp z *Kultury Polskiej*, dotyczący Marjawitów i Honoratek.

Nie można jednak twierdzić, aby p. Poraj odkryła całkiem nowe lądy, nigdy ludzką stopą nie dotknięte. Już w marcu 1906 r. *Gazeta Polska* zamieściła artykuł p. t. „Gospodarka religijna stowarzyszeń kobiecych", w którym ostro krytykowano działalność tych istytucji, urągających całej współczesnej kulturze. Nie brakło i głosów przeciwnych, mianowicie w pismach klerykalnych pojawiały się artykuły propagujące życie zakonne i zachęcające pobożnych do wstępowania w grono członków „Świętej Rodziny".

Gdy jednak nacisk opinji rosyjskiej, mocno poruszonej treścią dokonanych rewelacji, wywołał ze strony władz śledztwo u Ojca Honorata w Nowym Mieście, *Dziennik Powszechny* uderzył na alarm i obrzucił pannę Poraj gradem wymysłów, zarzucając jej denuncjację i oszczerstwo.

Jest rzeczą oczywistą, że w tym wypadku naczelnicy powiatu i straż ziemska znaleźli się w niewłaściwej dla siebie roli i całkiem słusznie, jak twierdzi *Dziennik Powszechny*, przeprosili Ojca Honorata za przykrości „przekonawszy się, że ten starzec więcej myśli o zagrobowym życiu niż o ziemskim". Gdyby byli dokładnie przeczytali artykuły panny Poraj, byliby do tego samego wniosku doszli i bez śledztwa, gdyż treścią każdego a zwłaszcza tak wygórowanego ascetyzmu jest bezwzględna negacja wszystkich spraw doczesnych (nie wyłączając czystości i zdrowia) na rzecz zbawienia wiecznego.

„Śledztwem" w sprawie działalności Ojca Honorata winien się zająć kto inny, mianowicie jakaś komisja sanitarna w połowie z psychiatrów, w połowie z higjenistów i bakterjologów złożona, aby w interesie zdrowia publicznego położyć kres tej propagandzie newrozy i wytępić siedliska brudu i zarazy.

Obrzędy zbiorowych krwawych biczowań odbywające się w ciemności, barbarzyńskie pokuty, reguły zakonne niedozwalające umyć rąk, zmieniać bielizny i chustek do nosa, broniące tępić robactwo w łóżkach gwoli umartwieniu, a nakazujące wspólną dla wszystkich pościel i ubranie i tym podobne szkodliwe, brudne i wstrętne praktyki domagają się kontroli publicznej nad zakonnymi domami.

Kto zarzuca denuncjację tym, co to wszystko na światło dzienne wydobywają, mógłby na tejże zasadzie zarzucać ją „Towarzystwu Opieki nad zwierzętami", gdy piętnuje i ujawnia fakty nieludzkiego znęcania się, lub lekarzom, którzy donoszą, że tu lub tam pojawił się tyfus lub szkarlatyna.

Przed kilku miesiącami w artykule „Zemsta Boga" ujawniliśmy w *Prawdzie* fakt barbarzyńskiego obchodzenia się z obłąkanym, którego na łańcuchu trzymano. Na skutek tej wiadomości dokonało się również śledztwo i nieszczęsnego warjata odebrano rodzinie, a umieszczono w przytułku. Może i to nazwie *Dziennik Powszechny* denuncjacją?

Nas ten zarzut bynajmniej nie powstrzyma od ujawniania i tępienia zarazków barbarzyństwa, starannie szczepionych naszemu społeczeństwu przez różnych „Honoratów" i „Honoratki".

Dodamy jeszcze, że istnieje dziwna zbieżność i równoległość między objawami społecznymi, dostrzeganymi w obecnej dobie w naszym i rosyjskim społe-

czeństwie. Wszakże całkiem świeżo ujawniono w Petersburgu przerażające obrazy działalności „Joannitów" — ludzi myślących również o życiu zagrobowym, myślących o nim tak wyłącznie, że dla życia doczesnego niebezpieczni i szkodliwi się stawali. Z punktu widzenia zbawienia wiecznego nie mogą dzisiejsi ludzie rozstrzygać wszystkich kwestji społecznych i z tym się *Dziennik Powszechny* pogodzić musi

m.

Polska reformacja w Ameryce.

Biskup „polsko-narodowego kościoła katolickiego" w Ameryce, ks. Franciszek Hodur, zwołuje na d. 28 i 29 września drugi z rzędu zwyczajny synod tegoż kościoła. Pierwszy odbył się w 1904 roku również we wrześniu i miał głównie cele organizacyjne na względzie.

Rozesłana obecnie przez ks. biskupa Hodura odezwa zamieszcza na porządku dziennym zapowiadanego synodu kwestję „określenia różnic, jakie dzielą kościół narodowy od rzymsko-aryjskiego społeczeństwa w Ameryce" oraz „wyraźne orzeczenie zasad wiary, moralności i dyscypliny, które są i mają być podstawą jego życia duchowego".

Odezwa w pewnej mierze antycypuje już decyzje synodu poniekąd i w drugim, lecz zwłaszcza w pierwszym punkcie.

Oto co pisze o stosunku do Kościoła katolickiego:

Nie jesteśmy wrogo usposobieni dla papieskiej organizacji, bo to ciało szanowne wiekiem i zasługą położoną wobec świata przez wychowanie barbarzyńskich narodów dla wyższej kultury ludzkiej, ale też nie możemy zamknąć oczu na błędy dogmatyczne i wady w ustroju gospodarczym tegoż kościoła, na jego fałszywie pojęty stosunek do pracującego ludu, a zwłaszcza do narodu polskiego — te błędy i te wady, które odstraszają dziś od rzymskiego kościoła wszystkich głębiej myślących ludzi, wszystkich przyjaciół Chrystusowego, pierwotnego społeczeństwa, opartego o prawdę, sprawiedliwość, prostotę, równość i ofiarę. Wszystkie wyższe umysły XIX i początku XX wieku wybiegły poza granice, nakreślone przez sobór trydencki i watykański, wszyscy badacze przyrody, filozofowie, samodzielni tłumacze i objaśniacze Pisma Świętego, są w rozdźwięku z rzymską nauką.

I polskie społeczeństwo poczyna być w rozdźwięku i duchowej rozłące z papieżem, jego polityką i światopoglądem przez jego kościół reprezentowanym. Zauważono nie oddawna, że każda myśl nowa, oryginalna, z duszy narodu w Polsce, albo na wychodźtwie poczęta, torująca sobie drogę ku przyszłości, była zwalczana przez przedstawicieli Watykanu. Nieprzyjaznym okiem patrzeli się rzymscy księża na działalność Mickiewicza, Słowackiego i Zaleskiego, pragnących pogłębić zrozumienie religji Chrystusowej, odrodzić naród i doprowadzić do wyższej doskonałości moralnej; przeklinał papież i jego księża walkę z roku 1830, przeklinali obudzenie się ludu w Galicji najpierw w stronnictwie ks. Stojałowskiego, potym Wysłoucha i Stapińskiego, socjalistów, wyspołecznili marjawitów w Królestwie, złorzeczyli Związkowi N. P. i nam, walczącym o jakie takie uznanie z przemocą aryjskich i niemieckich biskupów. Wszędzie, gdzie zadrgało żywiej serce polskie, błysła myśl, podniosła się ręka do protestu, albo czynu — obok krzyżackiej hydry, ... zjawiał się zły, niszczący duch watykańskiego więźnia, by nas cofnąć wstecz, na drogę reakcji i niemocy, albo przynajmniej zohydzić przed światem, jak to uczynił Pius X, posądzając naród polski w czasie ostatniej rewolucji o krwiożercze zamiary względem żydów, albo teraz elektor jego i doradca biskup krakowski Puzyna, wzbraniający wstępu do grobowców krakowskich prochom nieśmiertelnego wieszcza narodu.

Taka to już ich taktyka, ich wszystkich, jakbądź się oni nazywają, wobec tych przedstawicieli polskiego społeczeństwa, którzy w jakikolwiek sposób potrząsną rzymską obrożą i rwą się ku błękitom.

Więc my, zwolennicy Narodowego Kościoła nie pragniemy tak bardzo podszywać się pod formy rzymskiej organizacji, owszem powinniśmy wyrzucić to wszystko, co krępuje ducha, co tamuje moralny i duchowy rozwój jednostek i społeczeństwa, co utrudnia zrozumienie Bożej nauki Mistrza, a zbliżyć się z pokorą i ufnością do Niego samego, do założyciela chrześcijaństwa, Jezusa Chrystusa i u Niego, jak u źródła i światła, szukać ożywczej prawdy i drogi wytycznej żywota.

Pod takimi hasłami zgromadzi się więc w końcu tego miesiąca synod amerykański, całkiem niedwuznacznie proklamujący zupełne zerwanie z Rzymem. Kler katolicki, jak widzimy, wszędzie siejąc wiatr — zbiera burzę i traci najmocniej ugruntowane tradycją wpływy swoje, gdyż do takich należy zaliczyć jego dotąd bezsporne panowanie nad duszami wiernego religji ojców ludu polskiego. Na tle religijno sekciarskich prądów Ameryki Północnej powstaje „kościół narodowy"; w Brazylji pod wpływem indyferentyzmu religijnego krajowców — antagonizm między duchowieństwem a ludem polskim u tego ostatniego budzi raczej prądy antyklerykalne, w kraju zaś widzimy zawiązki obu form rozłamu: sekciarstwo w postaci marjawityzmu i antyklerykalizm kilku odcieni, począwszy od szechistycznego chrystjanizmu do dość posuniętej wolnomyślności.

Takie to już czasy! W Hiszpanji zaszły sprawy dużo dalej mimo jeszcze lepiej ugruntowanych tradycji prawowierności.

NOTATKI SPOŁECZNO-EKONOMICZNE.

O giełdach pracy w Szwajcarji i na Węgrzech.

W ostatnich czasach w całym szeregu krajów cywilizowanych zauważyć się daje dążenie państwa albo do zagarnięcia bezpośrednio w swoje ręce organizacji pośrednictwa pracy j. n. w Anglji, lub też przyjścia z pomocą gminnym biurom pracy drogą wydawania zapomóg, opracowywania odpowiednich wskazań, według których giełdy pracy muszą normować swą działalność j. n. w Szwecji, Norwegji i Szwajcarji. Społeczno-polityczne koła Zachodu już w dostatecznym stopniu przekonały się, iż organizacja pośrednictwa pracy jest jednym z najważniejszych środków zapobiegania lub umiejscowenia bezrobocia.

Biura dostarczania pracy bywają trojakiego rodzaju: 1) biura stron zainteresowanych, organizowane przy cechach rzemieślniczych, w oddzielnych gałęziach przemysłu przez przedsiębiorców i, nakoniec, przy wielu związkach robotniczych przez samych robotników; 2) biura urządzane przez osoby prywatne, i 3) gminne lub też publiczne biura. Wartość pierwszego rodzaju biur nie może być zbyt wielką ze względu na rozbieżność interesów stron. Prywatne biura po większej części są niedogodne z tego względu, iż mają za wytyczny cel własne dochody, wobec czego bardzo często w nielitościwy sposób eksploatują poszukujących pracy.

Widzimy więc, iż organizację pośrednictwa pracy winno wziąć na się państwo lub też gmina: albowiem one tylko są w stanie zneutralizować pośrednictwo pracy i służyć bezinteresownie właściwej swej idei.

Ojczyzną gminnych giełd pracy jest Szwajcarja. Pierwsza giełda pracy założona została w 1889 r. Teraz w Szwajcarji znajdujemy 13 municypalnych giełd pracy, z których każda dzieli się na dwa oddziały: męski i kobiecy. Bieżące sprawy załatwia specjalny zarządzający, którego obwiązkiem jest 1) śledzić za ekonomicznym stanem rynków robotniczych, 2) zawiązywać stosunki z pracodawcami i innymi giełdami pracy, 3) zbierać

materjały statystyczne, dotyczące pośrednictwa pracy wogóle.

Kontrola działalności giełd pracy znajduje się w rękach specjalnej „administracyjnej komisji.” Zasadniczą cechą tej komisji jest to, iż należą do nich w równej liczbie przedstawiciele robotników i pracodawców. Prawie we wszytkich giełdach pracy (za wyjątkiem 2) mieszkańcy miast korzystają z pośrednictwa bezpłatnie. Robotnicy zamiejscowi płacą pewną drobną kwotę pieniężną.

Giełdy pracy utrzymywane są na koszt zwierzchności miejskiej. Jak duże są wydatki na utrzymanie giełd pracy, świadczą następujące dane: Zurych wydaje rocznie 15,300 fr., Bazylea — 12,500, Bern — 8,100, St. Gallen — 7,800. Podczas strajków giełdy pracy pełnią swe obowiązki, ale zarazem zawiadamiają wszystkich zwracających się o pracę o powstałym strajku w danej gałęzi przemysłu.

Działalność szwajcarskich giełd pracy jest bardzo owocna i obszerna. W 1908 r. zwróciły się do nich z prośbą o wskazanie pracy 71,792 osoby (54,366 mężczyzn, 17,426 kobiet) wskazano 40,125 wolnych posad.

Ostatnio poruszono w Szwajcarji kwestję centralizacji i ujednostajnienia działalości giełd pracy, jak również i niezbędności ze strony państwa przyjścia im z pomocą. Już w 1894 r. prawodawcze izby szwajcarskie przyjęły następującą rezolucję: „Związkowej radzie poleca się zbadanie i określenie w jakich rozmiarach pożądana jest pomoc związku dla społecznych giełd pracy.” Badanie to trwało stosunkowo dość długo, gdyż dopiero w końcu 1907 r. rada związkowa nadesłała do izb prawodawczych projekt do prawa o uregulowaniu pośrednictwa pracy. Projekt ten rozpatrzony był ostatecznie w tym roku i przyjęty olbrzymią większością głosów.

Na zasadzie więc nowego już prawa z 1909 r. rząd związkowy subsydjuje gminne giełdy pracy, o ile te odpowiadają następującym warunkom: 1) bezpłatna działalność pośrednicząca jak dla robotników, tak i pracodawców 2) równe przedstawicielstwo robotników i przedsiębiorców w zarządzie dla osiągnięcia całkowitej neutralności i bezpartyjności, 3) podczas strajków i lokautów giełda musi być czynną, lecz jednocześnie obowiązaną jest udzielać zainteresowanym wiadomości o powstałych konfliktach, 4) giełdy pracy muszą brać udział w międzymiejskim, centralizowanym pośrednictwie pracy, przyłączając się do „centralnego zarządu”, 5) giełda pracy musi brać udział w układaniu perjodyczuych sprawozdań o stanie rynku robotniczego i przesyłaniu ich departamentowi statystycznemu. Pomoc związku zasadza się na 1) zwrocie kosztów utrzymania „centralnego zarządu 2) subsydjowaniu oddzielnych giełd pracy w rozmiarach $^1/_3$ ich wydatków, nie więcej ogółem jak 50,000 fr. dla wszystkich giełd.

Nowy węgierski przemysłowy projekt do prawa zawiera również szereg paragrafów, dotyczących unormowania pośrednictwa pracy. Według niego, wszystkie miasta i gminy z liczbą ludności powyżej 10,000 obowiązane są organizować gminne giełdy pracy. Znajdować się one winny pod zarządem gmin, pod kierunkiem wyznaczonego ad hoc urzędnika. Wydatki ponoszą wspólnie państwo i gmina. Działalność pośrednicza dotyczyć musi wszystkich bez wyjątku robotników a nawet służby domowej. Giełdy pośredniczą zgoła bezpłatnie. Jeśli w jakiejkolwiekbądź gałęzi wytwórczości funkcjonuje umowa według taryfy, giełda pracy obowiązana jest wskazać zasadnicze punkty tej ostatniej. Jeśli praca wyznaczona przez pracodawcę okaże się niższą od przewidywanej przez taryfę, giełda pracy obowiązaną jest odmówić swego pośrednictwa.

Co się zaś tyczy działalności giełd pracy podczas strajków i lokautów, i stanowiska, jakie mają zająć względem nich, węgierski projekt do prawa sądzi, iż powinny one podczas wszelkiego rodzaju konfliktów między pracą a kapitałem zawiesić swą działalność i wyczekiwać zupełnego polepszenia się stosunków.

Bolesław Rozstański.

LITERATURA i SZTUKA.

Sezon teatralny w Paryżu.

Gdy wielkie imperium byzantyjskie chyliło się ku upadkowi, nie stało w nim głów godnych korony, ani ramion tak silnych, a dostojnych, by, zdobywszy sobie purpurę, umiały ją nosić i przekazać następnie synowi. Na wielkim jarmarku dziejowym berło królewskie stawało się chudą, ogryzioną kością, którą mocniejsze zęby zagarniały raz wraz dla siebie, a los przerzucał z namiotu zdobywcy na biesiadny stół zbogaconego bankiera lub syna przebiegłej nałożnicy otrutego cesarza. Lud i możni frymarczyli nim i kierowani strachem składali je u stóp okrytego sławą zwycięzcy, gdy miastu zagrażało nieszczęście, to znów pukali inni do serc bogaczy, by wzamian za kamasze cezarów otrzymać wolny przystęp do jego spichrzów i skarbców.

A jednak w tak porwanym biegu wypadków była jakaś tragiczna ciągłość powolnie obsuwającej się góry, była groza gęstniejącego mroku i okrzyki przelotnych zwycięstw nie zdolne były zagłuszyć groźnych pomruków dojrzewającej przyszłości.

Eunuch i awanturnica ujęli się pod ramię i, w okrucieństwie a rozpuście szargając biel narodowej szaty, poszli na bój z jutrem, z którym żadna nie wiązała ich miłość. Oni to stanowili tę ciągłość rządów, oni wyciskali na niej swe piętno i raz wraz tylko jakiś obcy przybysz zakłócał chwilę powolnego konania, ale przekupiony purpurą, drętwiał pod ciężarem korony i zaledwie tylko ujmował berło, wkraczał na drogę swych poprzedników i słabnącym ramieniem nie umiał podeprzeć staczającej się w przepaść nawy publicznego dobra...

Przykry ten obraz historyczny staje mi zawsze przed oczyma, ilekroć wypoczętym i odmłodzonym wzrokiem przyglądam się teatrowi francuskiemu i co czas jakiś mam sposobność śledzić w nim postępy powolnego rozkładu, który coraz szerzej go ogarnia.

Gdy nie stało Dumas'a i Sardou, pozostała jednak wytknięta przez nich droga, tak równa, a tak przestronna, że już parami chodzić po niej można, bo nie jest ona jako górna perć, co ku wirchom wiedzie, ale jako gwarna ulica, co na wielki rynek wyrzuca tłoczących się handlarzy i przekupniów.

Urzeczywistnił się ideal, tłumy podążyły ku teatrom, nie podniesiono ich do jakiegoś wyższego poziomu, ale przystosowano teatr do smaku najprzeciętniejszego ogółu; rozmnożyły się sceny, wyrosło zapotrzebowanie sztuk, sztuka stała się produktem, pisarz jego dostawcą; powstały spółki do eksploatowania pewnych *procédés* — eunuch i awanturnica wzięli się pod ramię: ten, który do jutrzejszego życia nic nie wnosi z siebie i ta, która najszlachetniejszy dreszcz swego istnienia wymienia na lichy towar chłodnej rozpusty.

Przed zgniłą falą nie uchronił się nawet „pierwszy teatr francuski — la maison de Molière et Racine, — nie opędził się przed nią nawet Octave Mirbeau, który obok p. Tadeusza Natansona podpisał „Le Foyer”.

Cynizm, który wieje z tego „ogniska”, nie ma chyba nic równego sobie: oto baron Courtin, senator, członek Akademji francuskiej i autor licznych i wysoko cenionych dzieł naukowych, któremu wszystkie pensje, honorarja i nagrody pieniężne nie wystarczają na opędzenie potrzeb wystawnego życia, godzi się na to, iż żona jego jest metresą bogatego finansisty Birona, ten zaś przez wdzięczność pokrywa stale dość znaczne deficyty budżetu pp. Courtin. I zdarza się, że interesy p. Courtin zaczynają się gmatwać coraz poważniej:

zdarza się to akurat w chwili, gdy pani Courtin zakochuje się w pewnym głupkowatym młodzieńcu, przechodzi okres wyłączności uczuć i ma zamiar zerwać z Bironem. P. Courtin jest w rozpaczy; błaga więc swą żonę, by udała się do Birona, ale finansista wyraźnie stawia swe warunki: dopomoże mężowi, gdy pani Courtin porzuci myśl zerwania z nim. Osaczona ze wszech stron, proponuje mu inne rozwiązanie: chce się wyrzec swej miłości, zerwie z ukochanym, w smutku i żałobie pędzić będzie żywot, ale za tę ofiarę wyrzeczenia się żąda, by Biron dopomógł jej bezinteresownie. I tu wyłazi clou całej sztuki: „A quoi bon torturer tout le monde", mówi Biron, poco masz męczyć i siebie i mnie i tego młodzieńca. Wszak go kochasz? A ja nie jestem wcale zazdrosny, *à moi il me suffit le plaisir*. Wszystko ułoży się jak najlepiej". Biron zapłaci znów te trzykroć sto tysięcy franków, które sprzeniewierzył p. Courtin, by zaś odpocząć po wzruszeniach tych kilku przykrych dni, całe towarzystwo, nie wyłączając nowego kochanka pani Courtin, uda się na przejażdżkę po morzu.

Takie rozwiązanie jest rzeczywiście nowym nawet w sztuce francuskiej a okrzyczany trójkąt małżeński jest naiwną kombinacją wobec tego na zimno zawiązanego czworokątu.

Zacytowałem tę sztukę przedewszystkim jako jaskrawy przykład, ale również i ze względu na to, że wystawiano ją w Komedji Francuskiej i że Mirbeau jest jednym z jej ojców.

(d. c. n.) *Stefan Gacki.*

Z Zachęty.

(Krzesz, Trzebiński, Szańkowski, Okoń, Sawiczewski, Lindeman, Gawiński i Wiśniewski.)

Gdy czas dłuższy przebywa się w środowisku pozbawionym wszelkiego zmysłu estetycznego, jakim jest środowisko warszawskie, nic dziwnego, iż pomału zatraca się subtelność w odczuwaniu piękna, że przecenia się często wartość niejednego swojskiego dzieła sztuki, lub zbyt pobłażliwie je się osądza, dostrzegając artyzm tam, gdzie go wcale niema, obdarzając niesłusznie mianem artysty — zwykłego, sumiennego nieraz, lecz pozbawionego twórczego daru pracownika na polu sztuki. Lecz po powrocie z zagranicy, po zetknięciu się z wszechświatową, prawdziwie twórczą działalnością artystyczną, gdy przebywało się w wirze walki różnych prądów w sztuce,świadczących o jej wielkiej żywotności i ciągłym rozwoju, a — po tym zelektryzowaniu i podnieceniu, na nowo przekroczy się smutne barjery oddzielające nas od Europy, wtedy ze smutkiem i z goryczą dostrzega się całą mdłość sztuki naszej, zastój w jej rozwoju, jakiś przedwczesny uwiąd, brak soków silnych, ożywczych i zatrważające przeżuwanie dawno już przetrawionych tematów, pojęć i techniki. Gdy na Zachodzie w całej Europie wre życie i kipi walka na polu sztuki, gdy tam się wszystko zmienia, przybiera formy nowe, z których wyrobią się odmienne od dotychczasowych pojęcia estetyczne, myśmy ugrzęźli w jakimś dziwnym konserwatyzmie z którego nie staramy się wydobyć, i pozostajemy coraz bardziej w tyle poza powszechnym rozwojem. Czy długo jeszcze stan taki ma trwać? czy my zaprawdę nie zdobędziemy się w sztuce na nic własnego, oryginalnego i tętnem życia drgającego?

Niezmiernie ubogo przedstawiają się obecnie salony naszej Zachęty. Zawieszone pomiędzy dawniejszymi, nowo nadesłane obrazy niczym szczególnym się nie zaznaczają. Bije od nich szarość, bladość i tak u nas pospolita pretensjonalność, połączona z gadulstwem sentymentalnym, a pozująca na głęboką ideję. Takimi są przedewszytkim prace Męciny-Krzesza.

Obraz nazwany „Ostanie akordy Chopina" wyobraża tego mistrza tonów w ostatnim rozwoju jego choroby, lecz wydobywającego jeszcze akordy z instrumentu. Postać cała znajduje się w cieniu, tylko na wychudłe ręce pada światło z otworu okiennego. Ma to być światło księżyca — ale nim nie jest. Przez okno widać krajobraz w oświetleniu dziennym, a na jego tle jakąś rozpaczającą figurę o nadzwyczaj wielkich rękach, która zapewne jakąś zjawę ma wyobrażać. Całość byłaby wcale efektowna pomimo zbyt literackiego pojęcia, gdyby była w szczegółach mniej naturalistycznie traktowana, gdyby światło było jednolite i robiło wrażenie księżycowego, to jest gdyby było więcej poezji w wykonaniu.

Drugi obraz, mający wyobrażać „Jadwigę, królowę Polską", jest pod każdym względem utworem bezwartościowym. Młode dziewczę na tronie polskim zyskało przez swą dobroć a szczególniej przez połączenie się związkiem małżeńskim z Jagiełłą — miłość ludu polskiego, który przelał na osobę tej królowej wszystkie legiendy odnoszące się do innej Jadwigi, do księżnej śląskiej, żony Henryka Brodatego, którą kościół katolicki uznał za świętą. Otóż postać ta wyidealizowana przez naród cały może być rozmaicie pojęta, pod warunkiem jednak, iż zawsze musi być owiana majestatem królewskości. Pan Krzesz namalował woskową lalkę, którą ubrał w jaskrawą suknię o secesyjnym deseniu, a na tle jej krzesła umieścił orła o formach zygmuntowskich.

Jeżeli w dziele sztuki ma się wyobrażać postać historyczną, to nawet — jak w wypadku tyczącym się Jadwigi, gdy niema źródeł autentycznych mogących dać pojęcie o wyglądzie wyobrażanej postaci, musi być zachowany charakter epoki, czego najzupełniej w obrazie p. Krzesza niema, a całość obrazu jest cukierkowa, i jeżeli kiedykolwiek można użyć przy ocenie obrazu wyrażenia „mydlarski," to ono się najzupełniej do tej pracy p. Krzesza stosuje. Jego „Jadwiga", reprodukowana na papierze, służyć może co najwyżej do owijania mydeł.

Obraz trzeci „Przekleństwo", wyobrażający scenę w szynkowni, jest fałszywy pod każdym względem. Nie mówiąc już o przestarzałej trywialności tematu, niema w nim absolutnie prawdy życiowej, lecz kompozycja w rodzaju melodramatów uprawianych przez kinematografy.

To wszystko nie jest sztuką, to wszystko jest fałszem zachwaszczającym żywą niwę sztuki!

P. Trzebiński wystawił znaczną liczbę widoków Gdańska i jego okolic. Prace te byłyby dobre, gdyby w nich było choć trochę powietrza. Są one ostre i suche we wszystkich swoich planach i szczegółach. Jednak są o wiele lepsze od portretów, jakie ten artysta również wystawił, a w których niema prawdy życiowej, niema więc charakteru. Dlaczego dama sportretowana siedzi wydekoltowana, w koronkach, w kapeluszu ze strusimi piórami (kiepsko namalowanymi), przy stoliku, a jej strój i poza niczym się nie usprawiedliwia? Czyżby ta kobieta nie lepiej, prawdziwiej i szczerzej wyglągała, gdyby ją artysta sportretował taką, jaką ona jest zwykle u siebie w domu, bez pozowania do kiepskiej fotografji? A ten mężczyzna ubrany w futro i stojący w salonie, czy to także ma z prawdą coś wspólnego? Po co ten fałsz, który nie byłby tolerowany gdyby nawet wykonanie stało na wysokim poziomie artystyczym. Obecnie nawet fotografja zawodowa (nie u nas, ale zagranicą, jak o tym świadczą okazy na wszechświatowej wystawie fotograficznej w Dreznie), już takich banalnych i niczym nieusprawiedliwionych póz nie używa.

P. Szańkowski wystawił portrecik młodej dziewczynki, wcale dobry, przyjemny w kolorze i technice. Artysta ten przebywał dość długo w Anglji i na pracy tej jego czuć wpływ elegancji portretów Gainsborough'a i innych artystów angielskich z początków XIX w., wraz z wpływem nowoczesnym Sergent'a.

„Tancerka" p. Okonia jest dobra w kolorze i lekka w ruchu, jakkolwiek zanadto przypomina tancerkę (Cléo de Mérode) Falguier'a. Twarz jej za stara nic nie wyraża, a całość robi wrażenie fragmentu jakiejś kompozycji.

P. Sawiczewski wystawił szereg rysunków, krajobrazów i portretów, świadczących o wielkiej sumienności i mozolnym wypracowaniu. Na uwagę zasługuje bardzo dobry portret mężczyzny siedzącego na kanapce, futrem pokrytej. Jest w nim dużo prawdy w wyrazie i pozie niewymuszonej. Portret Grottgera byłby niezły, gdyby nie umieszczona z tyłu jego postaci jakaś muza z wieńcem, czekajaca, aby w chwili gdy on czapkę barankową zdejmie, mogła głowę jego owym wieńcem nakryć. Na co to potrzebne? Co ma wspólnego siwy baranek z wieńcem laurowym? Należało się zdecydować albo na jedno, albo na drugie.

P. Lindeman namalował półakt kobiecy, ale tak wyokrąglił formy, iż kobieta ta robi wrażenie jaboby była wytoczona z drzewa, więc, pomimo iż ją autor umieścił w pościeli, ona wcale nie leży, lecz jest jakby zawieszona — przecież ciało jest gibkie, elastyczne.

P. Gawińskiego główka kobieca na tle złoconym jest dość harmonijna w kolorze i — tyle tylko.

Rok Słowackiego stał stę powodem, iż zapewne nawet popielniczki i inne podobne „galanterje" ozdobione(?) zostaną podobizną poety. Zapewne w podobnym celu wykonał p. Wiśniewski gipsową plakietę i nazwał ją „Apoteozą Słowackiego". Plakieta ta aż nadto zaznacza, iż jej autor nie ma pojęcia o tym co to jest płaskorzeźba.

Smutny przegląd...

Wincenty Trojanowski.

TEATR LETNI: **Lichwa mieszkaniowa.** Sztuka w 3 ch aktach — Bernarda Shawa, (z angielskiego).

Bernard Shaw jest to jeden z niewielu współczesnych pisarzy angielskich, znanych na kontynencie. Jest to satyryk z pewnym specyficznym charakterem, rzekłbym raczej — *kpiarz*: układa on sztuki, które śmiało można nazwać tak, jak nazywano utwory sceniczne angielskie w XIII i XIV w.: *moralities.*

Zawierają one w sobie zawsze morał, ale pisarz nowożytny obok morału pomieszcza wszystkie- wątpliwości co do wartości tego morału; maluje on ludzi, którzy walczą rzekomo przeciw obłudzie a w gruncie sami są nie mniej obłudni od innych; maluje on wreszcie swoją własną podniosłość wobec tej nędzy moralnej i nakoniec drwi sam ze siebie. Każda sztuka Bernarda Shawa — jest kombinacją ironji społecznej, psychicznej i osobistej.

Przedewszystkim pozory! to jest dewiza życia przeciętnego anglika, a niewątpliwie i nie anglika. Rzecz dobrze zbadawszy, ludzie są wszędzie jednacy. Zwłaszcza zaś teatr francuski ma takie stanowisko uniwersalne, że gdziekolwiek graną jest sztuka francuska, można ją bez trudu przerobić na miejscową. Tej uniwersalności nie mają sztuki innych języków, wyjąwszy niektórych nadzwyczajnych pisarzy jak np. Ibsena. Innych autorów — niemieckich, rosyjskich, a zwłaszcza angielskich — zawsze odczuwa się jako obcych. I Bernard Shaw — pomimo talent i dowcip niepospolity — nie przestaje być autorem obcym; choć zmuszony żyć w Europie a nawet pisać po niemiecku — jest bardziej kontynentalny od innych anglików (wyłączam tu Oskara Wilde'a, który jest francuski).

Jakeśmy wzór samoironicznych pism Shawa znaleźli w *moralities* XIII w., tak możemy go znaleźć i w komedjach Sheridana, ale nie przeszli też bez wpływu na niego kontynentalni pisarze, jak Sudermann Augier i Sardou. Sztuka, którą grano świeżo w T. Letnim — jest to dzieło wysoce oryginalne, które jednak przypomina rzeczy Sardou, Augiera i in. na temat zopsucia klas mieszczańskich, na temat nieprawego zdobywania majątku i t. d. Pomimo to analogje sztuka Shawa jest niezmiernie świeża — i wyróżnia się od sztuk francuskich głównie tym, że element płciowo — erotyczny gra tu rolę tylko cale drugorzędną; istotną osią sztuki jest szereg operacji finansowych, dość zresztą prostych — tak, że publiczność bez trudu je ujmuje. Pewna, właściwa komizmowi angielskiemu *clownerja* uzupełnia charakter sztuki. Łagodny romans Blanki z Harrym rozwija się — t. j. zrywa i wiąże — na tle finansowym.

Mianowicie, p. Sartorius, bogaty przedsiębiorca podmiejski w Londynie, jest właścicielem całej dzielnicy, zamieszkałej przez nędzarzy; z tych nędzarzy wyciska on krew i w sposób najbardziej nieludzki ich wyzyskuje. Ma on córkę, która w czasie podróży po Renie zapoznała się z pewnym młodym lekarzem — i zaręczona z nim wraca do kraju. Tu jednak Harry — przypadkowo — przez wydalonego ze służby Lichchesse'a, poborcy komornego — dowiaduje się, że jego przyszły teść zyski ciągnie, poprostu mówiąc, z rabunku. Nie chce więc od niego przyjąć posagu; sam posiada 700 funtów dochodu i z tej sumy oraz ze swojej pracy żyć zamierza. Blanka, której Harry nie wyjaśnił tej sprawy szczegółowo, obrażona zrywa z Harrym. Tymczasem Sartorius wyjaśnia mu, że jego kapitały przynoszące 700 f. — umieszczone są właśnie na tych samych domach. Harry, który wyobraża pierwiastek oburzenia przeciw wyzyskowi nędzarzy — mimowoli się załamuje i... kapitału nie rusza. W ostatnim akcie, wydalony ze służby Lichchesse wraca jako bogaty pan, który dobre interesa robi na domach nędzarzy, ale w inny sposób. Miasto zakupuje różne dzielnice dla przebudowy; oczywiście, im budynki lepsze, tym więcej płacą. Na tym tle przyszłych zysków ze sprzedaży dzielnicy roboczej rozwija się *humanitaryzm* Sartoriusa — postanawia domy przebudować i udoskonalić.

Ta nowa obłuda oburza Harry'ego, który chce kapitał swój wycofać, ale mu Sartorius tłumaczy, że gdzieindziej zamiast 700 f. będzie miał 250. Powtórnie tedy Harry się cofa — i w jednej chwili decyduje, że wszystkiemu winien *ustrój społeczny*. Okazuje się, że i ciotka Harry'ego, jakaś lady Rochdale — także ma kapitały u Sartoriusa. Symbolicznie tedy: arystokracja, mieszczaństwo i inteligiencja czerpią dochody z jednego źródła: — z nędzy ludu. Na tym polega ironja autora, który wykazuje zgniliznę klas panujących; przyczym klasy te zewnętrznie starają się wszystko upozorować formami wyszukanej przyzwoitości, gentlemanerji. Ostatecznie Blanka godzi się z Harrym i szczęśliwie się żenią. Blanka tym się różni od innych przedstawicieli mieszczaństwa, że bez obłudy i otwarcie uważa źródło dochodów ojca za bardzo odpowiednie — i byle tylko jej było dobrze— nic ją nie obchodzi; Blanka jest najbardziej cyniczna w całym tym towarzystwie.

Djalog jest urywany, krótki, pełny aluzji dowcipnych i gorzkich. Niema tu oczywiście konfliktów psychologicznych, jest to sztuka tzw. społeczna— i nie mało w niej pierwiastku czysto dziennikarskiego, a gdzieś, w bardzo głębokim i niedostrzegalnym cieniu — ironiczny socjalizm Bernarda Shawa. Tytuł *Lichwa mieszkaniowa* jest specjalnie urobiony na Warszawę; w oryginale rzecz ta zowie się poprostu *Domy wdowca.* Ale sama istota sztuki — lichwa mieszkaniowa — jest dla Warszawy najbardziej aktualną sprawą; tu ofiarą pada zarówno nędzarz jak i człowiek średnio zamożny: to też warszawiacy chętnie śpieszą na tę sztukę, aby zobaczyć na scenie własne cierpienia.

Główne role odegrali: p. M. Frenkiel (Sarto-

rius), który chwilami przypominał Geldhaba, a chwilami starał się nadać swej postaci typ nieco odmienny; p. L. Wostrowski (dr. Harry), który grał z życiem, ale nieco za słabo podkreślał przejścia nagłe młodego entuzjasty od oburzenia na krzywdy ludzkie — do ich milczącej aprobaty; p. M. Dulębianka (Blanka) odegrała rolę bohaterki w sposób dyskretny i powściągliwy, może nadto, gdyż autor miał na celu wystawić dziewczynę gwałtowną, która bije służącą i wyprawia „sceny."

Bardzo właściwie, choć nieco zbyt na francuski *manjer* — odegrał rolę Lichchesse'a p. Szymanowski, a p. Roland bardzo trudną i obcą figurę *Cokane'a* — nieustannie przypominającą wszystkie szczegóły ceremonjałów życiowych angielskich — starał się zrealizować możliwie dobrze.

A. L.

Z MUZYKI.

Pan Godecki ogłosił list otwarty, p. t. „być albo nie być" — w którym informuje Warszawę, że prowadzenie opery, podjęte przez konsorcjum artystów, nie będzie miało najmniejszych widoków powodzenia, jeżeli publiczność nie zasili kasy wykupieniem biletów abonamentowych.

Zupełnie się zgadzamy z p. Godeckim; abonament, dając pieniądze dla obrotu, ułatwia prowadzenie interesu.

Mamy nadzieję, że Warszawa, o ile nie obdarzy swym kaprysem jakiegokolwiek tinglu, stanie do apelu i zapewni byt 2 setkom polskich artystów, wykupując loże i krzesła. Ale jest jeszcze jeden środek, mogący, zdaniem moim, powiększyć i ustalić dochód kasy opery. *Należy zniżyć ceny miejsc.* Niech młody zarząd opery zacznie *tytułem próby* dawać przedstawienia operowe przy cenach nieco nawet niższych od dawnych popularnych, chociażby w ciągu dwuch tygodni—jestem pewny, że teatr będzie wypełniony po brzegi. Przy takim *stałym* dochodzie można będzie ściślej określić budżet i maximum lub minimum pensji. Co do programu — zdaje mi się, że nie może być dwuch zdań, że należy, o ile można, pożegnać stary repertuar. Tyle polskich oper leży w tece! Przy okazji przypominam panu Godeckiemu i jego kolegom, że od tat 30-tu czeka światła kinkietów opera Moniuszki *Paria.* Kilkakrotnie poruszano sprawę jej losów, ale pewni kompozytorzy, którym szło o utwory własne—zawsze zapewniali odpowiednie sfery i krytykę, że ta rzecz nic nie warta „skoro sam Moniuszko mówił, że pisze ją i dla Niemców."Tymczasem to zdanie Moniuszki oznaczało, że powagę nastroju i pedantyzm w pracy oceni chyba muzyk niemiecki. Obecnie — gdy nikt nie może przeszkodzić wyjęciu partycji Parii ze zbiorów Tow. Muz. sądzę — że czas największy zaznajomić Warszawę z utworem, który tak kochał sam autor. *Niech szanowna spółka artystów polskich pozostawi po sobie historyczną pamiątkę* wystawienia *premjery Parii!*

Z nowszych znów oper czekają kolei opery: Gużewskiego, Różyckiego i Krudowskiego. Rozumiem—że moje projekty można urzeczywistnić tylko z wielkim nakładem *pracy.*

Ale... znam p. Godeckiego, jako człowieka talentu i *wielkiej pracy* i znam kolegów jego, którzy *szukają i pragną* poważnej, moralnie i materjalnie owocnej pracy!

Antoni Miller.

Z PRASY.

Z prasy rosyjskiej.

* Z powodu nadchodzącej sesji Dumy organ kadetów przypomina publiczności o istnieniu już opracowanego przez odpowiednią komisję dumską „projektu prawa o nietykalności osobistej i stanach wyjątkowych." Jak zapewniają znawcy — w zestawieniu z tym projektem „parlamentarnym" odnośny projekt rządowy wygląda arcy-liberalnie, niemal rewolucyjnie.

„Komisja nietykalności osobistej" 3-ej Dumy—pisze *Riecz*—wcale nie myśli o nietykalności osobistej i o zniesieniu stanów wyjątkowych w celu przywrócenia Rosji normalnego działania prawa. Opracowany przez komisję projekt prawa ma na celu nie zniesienie, lecz utrwalenie; nie ograniczenie nadzwyczajnych pełnomocnictw władzy, lecz ich wzmocnienie drogą formalnego zawieszenia wszystkich swobód z dnia 30 października i 8 go rozdziału praw zasadniczych. Zniesienie konstytucji i wolności obywatelskich *de facto* komisja Dumy chce zastąpić zniesieniem ich *de jure.* Zrozumiałym jest, że dla władzy rządowej nie będzie stanowiło najmniejszej różnicy rządzenie Rosją na podstawie prolongowanej „ustawy o środkach ochrony porządku i spokoju publicznego z r. 1881-go" czy też na podstawie dumskiego „prawa o stanach wyjątkowych" z r. 1910.

Istotnie, z załączonego przez pismo „projektu prawa o stanie wyjątkowym" (*jeden* gatunek zamiast *trzech* istniejących obecnie) dobitnie wynika, że komisja dumska znacznie rozszerza dotychczasowe granice stosowania stanów wyjątkowych. Jest zredagowany przytym w sposób bardzo mglisty i nieokreślony.

Przy pewnej dowolności interpretacji — konkluduje dziennik kadecki — „stan wyjątkowy" gospodarzy Dumy, październikowców będzie właśnie dla Rosji prawem normalnym, aczkolwiek odnawianym co pół roku.

Tak przyjmuje „wolności obywatelskie" dzisiejszy „parlament" rosyjski, bratający się z parlamentem angielskim...

* Kilka bardzo trafnych i głębszych uwag o opłakanych stosunkach politycznych w państwie znajdujemy w tygodniku: *Moskiewskij Jeżeniedielnik.* Na tle zataczającej coraz szersze kręgi apatji społecznej i łzawego urągania rządowi prasy opozycyjnej głos utalentowanego publicysty moskiewskiego ks. E. Trubieckiego zabiera szczególnego znaczenia. Polemizując z kadecką *Riecz*ą autor artykułu zapytuje:

Do *kogo* się zwracacie z waszymi żądaniami? Kto się powinien troszczyć o nasycenie prawem atmosfery (życia naszego?) Kto powinien uzdrawiać instytucje państwowe? Rząd czy społeczeństwo?

Jeżeli zmiany systemu oczekujecie od rządu — odpowiedzią na to może być jedynie śmiech homeryczny. Jeżeli zaś dla was jak i dla mnie bezskuteczność apelów do rządu stała się aksjomatem, pozostaje nam zająć się społeczeństwem.

Mówicie — i nie bezpodstawnie — że panuje u nas system przeciwny konstytucyjnemu, oparty na samowoli i kaprysie. Lecz niech mi wolno będzie zapytać od kogo i od czego zależy system rządów? Nie myśliciež przecie wespół z niedojrzałymi trzecioklasistami, że go rząd robi? Lecz w takim wypadku musicie stanowczo przyznać, że winnym jest owo społeczeństwo, które nie mogło wydać z siebie nic lepszego prócz danego systemu i danego rządu

Czemu u nas dotychczas wogóle niema rządów konstytucyjnych? Czyżby tylko temu, że tego rząd nie chce? Jeżeli tak, to społeczeństwu rosyjskiemu pozostaje założyć ręce i czekać spokojnie, aż rząd zmieni swój sposób myślenia.

Czyż może być cokolwiek szkodliwszego od tej nauki publicystycznej? Czyż nie jest oczywistym, że ona usypia świadomość i sumienie społeczeństwa, pochlebia apatji społecznej i lenistwu; powiększa bezwątpienia tę bezradność powszechną, która nas oddaje w moc reakcji?

Odpowiecie mi, że się obracamy w kole zaczarowanym. Bez konstytucji nie może być napięcia wszystkich sił zbiorowych: z drugiej zaś strony bez napięcia wszystkich sił społecznych nie może być konstytucji. Lecz sami wiecie doskonale, że w historji zdarzają się takie chwile, kiedy przybór sił społecznych rozrywa to koło zaczarowane.

Czyż nie jest jasnym, że „kaprys, bezprawie" i wszelaka inna zaraza, o której rozprawiacie, istnieje tylko dlatego, że my wszystko to tolerujemy? Czyż to „nieposzanowanie prawa", które nam charakteryzuje tak zwany „kurs konstytucyjny", byłoby możliwym w społeczeństwie angielskim lub choćby niemieckim...

Żadna zmiana stosunków społecznych niemożliwa jest bez napięcia świadomości i woli społecznej. System rządów, na który się skarżycie, będzie istniał wiecznie, o ile społeczeństwo rosyjskie nie *zapragnie* go przerwać i tego pragnienia w czyn nie wcieli.

Lecz by to pragnienie powstało, trzeba nam — publicystom troszczyć się o jedno: trzeba budzić w społeczeństwie świadomość i poczucie *odpowiedzialności*, nie zaś usypiać je pochlebnymi słowy o jakichś „instytucjach" i „porządkach", które — gotowe — same spadają z nieba i dadzą mu się niezależnie od jego woli, bez wysiłków i walki. Tylko te instytucje i porządki mieć będziemy, które sami stworzymy...

Są to stare prawdy, które od czasu do czasu należałoby przypominać i społeczeństwu polskiemu.

* Są jeszcze optymiści na tym świecie. Posłuchajmy oto, co mówi o sprawach polskich p. Pogodin w tygodniku *Moskowskij Jeżeniedielnik*. Wyliczywszy wszystkie ciosy, jakie na nas spadły w ostatnich czasach, p. Pogodin mówi:

Lecz pomimo wszystko wierzę, że sprawa polska zbliża się do pomyślnego rozwiązania; na naszych zjazdach słowiańskich zauważyłem jak krążą nad nią (sprawą polską) nocne upiory i jak pierzchały z przerażeniem przy blaskach słońca, rozumu i serca. W społeczeństwie rosyjskim coraz mocniej utrwala się świadomość swej winy przed bezbronnym narodem polskim i pragnienie oddania mu przynależnych praw i swobód... Sprawa polska bywa podnoszona nawet na zjazdach „czarnosecińców" i chociaż decydowana z rozbrajającą ciemnotą, lecz bądźcobądź w tym sensie, że kontynuować w stosunku do Polski dawną politykę jest rzeczą niemożliwą... Nie, — nadchodzi rozświt i my zmażemy wreszcie najhaniebniejszą plamę, ciążącą na naszym sumieniu narodowym.

Szanowny profesor jest stanowczo niepoprawnym optymistą...

KRONIKA.

— Dn. 16 b. m. zebrał się na naradę sejm galicyjski. Marszałek Stanisław Badeni i namiestnik dr. Michał Bobrzyński wygłosili mowy inauguracyjne, w których jednakże nie mówili o najważniejszej dla Galicji sprawie reformy wyborczej. Świadczy to, że prawica sejmu galicyjskiego nie myśli wcale o tej reformie, którą niedawno jeszcze uznawano za kwestję palącą. Oświadczenie w tej sprawie wygłosił nar.-demokratyczny poseł dr. Adam. występując tylko w imieniu swego stronnictwa, nie porozumiawszy się poprzednio z lewicą sejmową. Zdaje się, że galicyjska n.-demokracja pragnie się wyłamać z klubu lewicy i działać na własną rękę. Mowy inauguracyjne zatrzymywały się wyłącznie na kwestji reformy finansów przedstawiającej się bardzo niepokojąco. Na pokrycie deficytu wydział krajowy będzie musiał zaciągnąć pożyczkę 13 miljonów koron.

— W Anglji wybuchnął poważny zatarg między liberałami a konserwatystami a w dalszym ciągu między izbą gmin a izbą lordów. Wywołały go projekty podatkowe Asquitha, których izba lordów nie chce zatwierdzić. Przypuszczają jednak, że w końcu ustąpi, gdyż obawiać się będzie zaostrzenia konfliktu, który mógłby być dla niej zgubny, zważywszy, że już dość dawno w opinji publicznej odzywają się głosy, domagające się skasowania tej przestarzałej instytucji.

— Październikowcy zapewniają, że niebawem ogłoszony będzie okólnik ograniczający prawa wyjątkowe administracji wogóle, a w szczególności względem prasy.

— W Pittsburgu wybuchł nowy strajk. Koleje stanęły Kilka tysięcy robotników przerwało pracę.

— Wright odbył w Berlinie wzlot, który zaćmił wszystkie poprzednie popisy awiatorów, trwał 1 g. 45 minut. Tymczasem rekord wysokości osiągnął Rougier w Brescii, gdyż wzniósł się na 198 metrów.

— W Petersburgu odbyło się zebranie przedwyborcze zorganizowane przez kadetów. Gdy Milukow, odpowiadając na krytykę lewicy, objaśniał doniosłość wizyty posłów w Anglji i dowodził, iż „w Rosji niema samowładztwa lecz władza monarchy jest ograniczona", policja zamknęła zebranie.

— Wizyta posłów angielskich w Moskwie i Petersburgu ma nastąpić w ciągu października.

— Okólnik prezesa ministrów, dotyczący praw zamieszkania żydów w Syberji, wywołał masowe przesiedlenie żydów.

— Projektowane jest ustanowienie nowego podatku od osób, które na zasadzie ulg nie pełnią powinności wojskowej. Najniższa kategorja miałaby płacić 40 rb. rocznie w ciągu 3-ch lat, najwyższa 5,000 rb. w tym samym okresie,

— Powszechną uwagę zwracają ogromne zbrojenia się Japonji. Co do celu tych zbrojeń zdania są podzielone, gdy dzienniki rosyjskie utrzymują, że skierowane są one przeciw Rosji, wiedeńskie przypuszczają że raczej przeciw Chinom.

— Pobyt ministra Izwolskiego w Berlinie wywołuje pogłoski o zbliżeniu rosyjsko-niemieckim. Równocześnie notują zbliżenie się Austrji do Anglji.

— W Krakowie odbył się XI zjazd Frakcji Rewolucyjnej P. P. S., który postanowił odrzucić nazwę „Frakcji" a przybrać dla siebie dawną firmę Polskiej Partji Socjalistycznej, negując zupełnie istnienie t. zw. lewicy, lub inaczej frakcji umiarkowanej P. P. S. *Naprzód* ogłaszając tę uchwałę dodaje, że będzie ona początkiem „renesansu P. P. S."

— Rząd hiszpański ulegając naciskowi partji liberalnych obiecuje otwarcie kortezów na dn. 15 października.

— Śląska Rada Szkolna krajowa odrzuciła prośbę Macierzy i Tow. Szkoły Ludowej o otwarcie gimnazjum realnego w Orłowej, motywując odmowę rzekomym brakiem funduszów. Na wynik uchwały wpłynęła agitacja niemiecka.

— Za przykładem Krakowa w Warszawie ma powstać Towarzystwo Emigracyjne, mające się zająć uregulowaniem polskiego ruchu wychodźczego do Ameryki.

— Z rozporządzenia ministra oświaty w roku bieżącym osoby, które skończyły wydział medyczny zagranicą, będą mogły składać egzaminy jedynie przy uniwersytetach w Tomsku, Odesie i Kijowie.

SPROSTOWANIE: W ostatnim artykule p. Wasercuga p. t. „Ubolewania godne" znalazł się błąd drukarski, mianowicie zamiast „*ciemne* masy" napisano „*cenne* masy ludu żydowskiego". Że jednak niema tego złego, coby na dobre nie wyszło, omyłka ta posłużyła „Dniowi" jako *clou* jego wstępnego artykułu z d. 19 września.

OGŁOSZENIA.

Prenumerata „Prawdy"

(wraz z bezpłatnym dodatkiem):

W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8, z odnoszeniem do domu.

Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 50 rocznie rb. 10.

Za zmianę adresu dopłaca się 20 kop.

Sekretarz redakcji przyjmuje interesantów codziennie, oprócz niedziel i świąt, od 5 — 7 pp.

Rękopisów nie odsyła się. Autorowie prac nieprzyjętych mogą je odbierać w przeciągu trzech miesięcy, osobiście w Redakcji lub za pośrednictwem poczty, po nadesłaniu kosztów przesyłki. R kopisy drobne nie zwracają się.

Korespondencji nieopłaconych lub niedostatecznie opłaconych nie przyjmuje się.

Ogłoszenia wszelkiej treści po k. 20 za wiersz garmontowy jednoszpaltowy lub jego miejsce (strona ogłoszeniowa zawiera 4 szpalty).

Przedpłatę przyjmują: Administracja **Prawdy** oraz wszystkie księgarnie, kjoski i kantory pism perjodycznych.

Sprzedaż pojedyńczych numerów po kop. 20 w Warszawie w Administracji pisma i w kioskach.

Administracja otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt, od godz. 10 do 2 i od 4 do 7 pp.

Wydawca: **Józef Jabłoński.** Redaktor: **Roman Nowakowski.**

Druk K. Kowalewskiego. Warszawa, Mazowiecka 8.